

Czesława Dąbrowska
Wasilków, ul. Rynek 10.

I/951A
ARCHIWUM WSKROSNIE

Nazywam się Czesława Dąbrowska, z d. Kubala. Mój ojciec był kierownikiem szkoły w Wasilkowie. Jednak pochodził z okolic Krakowa, dokładnie z miejscowości Dębno. Stanowisko kierownika szkoły objął w drodze konkursu, który wygrał. Wygranie takiego konkursu nie było sprawą prostą. Ale ojciec taki konkurs wygrał i dostał tu pracę.

Na stanowisku kierownika szkoły pozostawał przez dwadzieścia lat. Kiedy wybuchła wojna, ojciec miał 43 lata. Jako oficer rezerwy pierwszego wrześniea został powołany do wojska, jak wielu innych.

Przed wojną naszej rodzinie powodziło się dobrze. Szkoła stała na wysokim poziomie. Jeszcze wczoraj szukałam listu, który otrzymał ojciec. List był napisany na ładnym papierze. Napisano tam między innymi: Szanowny Panie Kierowniku, bardzo dziękujemy, że nasz brat i dostał się w Warszawie do szkoły kolejowej. Obecnie jest inżynierem. Kiedy on starał się o przyjęcie do tej szkoły, to konkurencja była znaczna: na jedno miejsce było kilku kandydatów. Dostał się głównie dlatego, że w szkole w Wasilkowie był wysoki poziom nauczania. A dostał się bez większych kłopotów.

Jest to wystarczający dowód na to, że szkoła była dobra. Zresztą nasza szkoła nie tylko uczyła, ale skutecznie "skupiała" przy sobie młodzież. Rozwinięte były zajęcia pozalekcyjne. Starsi chłopcy, nawet uczniowie gimnazjum, często przychodzili do szkoły, aby sobie pograć na przykład w piłkę. W ten

sposób szkoła przeciwdziałała wałęsaniu się młodzieży po ulicy. Wszystko to było przemyślane i zorganizowane. Latem młodzież i dzieci ciągle gdzieś wychodzili, ciągle jakieś zajęcia i ćwiczenia. Mąż mówi, że w naszej szkole było jak w wojsku. Harcerstwo było doskonale zorganizowane. Panowała doskonała dyscyplina. Do harcerstwa należeli chłopcy i dziewczęta, którzy się dobrze uczyli. Życie w takim niewielkim miasteczku było bardzo ciekawe i wyglądało o wiele ciekawiej niż dzisiaj.

Z racji swojej funkcji ojciec wiecznie w tej szkole siedział. Do pracy wychodził na godzinę ósmą. Na obiad przychodził na godzinę pierwszą lub drugą, a następnie ponownie ~~sze~~ szedł do szkoły i dalej pracował. Wówczas nie było tak jak dziś - sekretarki, bałagan i nauczyciele, żrący się pomiędzy sobą. Tego kiedyś nie było.

Gdy wybuchła wojna, chodziłam do szkoły podstawowej. Akurat miałam zacząć naukę w piątej klasie. Natomiast ojciec - jak już mówiłam - został powołany do wojska.

Wasilków w czasie działań wojennych przechodził typowe koleje losu dla naszych stron: najpierw przyszli Niemcy a następnie Sowieci. Po nas przyszli trzynastego kwietnia 1940r. W tym czasie trwały już wywózki i z takim zdarzeniem należało się liczyć.

Przyszli nocą, nad ranem. Zastukali do drzwi. Mama wstała, ale nie wiedziała kto i co. W pewnej chwili usłyszała głos: Otkrojtcie, będzie rewizja. Ponieważ w tym czasie rewizje przeprowadzane przez nową władzę radziecką były modne, mama przyjęła to za dobrą monetę i niczego nie podejrzewając - otworzyła. Nie przypuszczała, że nas chcą zabrać i że po to przysz-

li, żeby nas aresztować.

Kiedy mama otworzyła, jeden z przybyłych żołnierzy stanął z karabinem w drzwiach, a drugi wszedł do środka, do mieszkania, a za nim następni. Jeden z Sowieców był ubrany w skórzany płaszcz. Towarzyszyło im dwóch Polaków z czerwonymi opaskami. Byli to ludzie miejscowi i jeszcze jacyś tam inni, nie wiem jacy.

Rewizja była tak szczegółowa, że zaglądano nam, dzieciom pod poduszki. W pewnym momencie zaczęli pytać o "rużjo". Mama odpowiedziała, że tata nigdy nie miał broni, że był wprawdzie oficerem, ale tylko oficerem rezerwy.

Szukali dosłownie wszędzie. Pamiętam, że w naszym domu stała szafa z wnęką na górze. Tam leżały ojca odznaczenia, bo ojciec był odznaczony kilkoma medalami. Wiem, że jakiegoś medalu nie kupił/?/ a jeden miał. A jeden z medali był brązowy, przyznany ojcu za dwudziestolecie pracy. Kształt medalu był okrągły. Na jednej stronie widniała głowa /wizerunek/ Piłsudskiego a na drugiej stronie była mapa. Znaleźli je tam, bo mama, na czas wojny tam je schowała. Wyciągnęli akurat medal ten drugi, brązowy.

Mama cierpliwie im tłumaczyła, że jest to medal tylko za pracę, że za dwadzieścia lat pracy zawodowej. Oni bowiem wyraźnie przyczepili się do tego akurat medalu.

Wreszcie skończyli tę rewizję i jeden z nich powiedział do nas: "sobirajtjes". A następnie zwrócił się do mamy: "pojedziecie k mężu".

Mama była tym kompletnie zaskoczona. Jak to? Gdzie? A oni na to: zbierajcie się, dajemy wam czas na spakowanie się który wynosi godzinę. No i teraz: jest noc, mamy na to tylko

godzinę. A w takich sytuacjach wszystko wydaje się być potrzebne, niezbędne. Oslupieliśmy i nie wiedzieliśmy, co mamy zabierać. Mama stanęła jak słupek soli. Ani nie płakała, ani nie pakowała, nic nie mówiła. Najzwyczajniej w świecie nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić.

My, dzieci, zaczęliśmy się ubierać. Ja spokojnie poszłam po swoje lalki, zaczęłam zabierać jakieś swoje fatałaszkę, miałam też ze sobą krakowskie ubranie, jakieś dwie wstążki i inne takie rzeczy, które akurat moim zdaniem były mi bardzo potrzebne.

W tym momencie takiego wahania się, gdy mama nie wiedziała, co ma począć, jeden z obecnych Sowietów, który okazał się być bardzo ludzkim człowiekiem przystąpił do działania. Podszedł do pościeli, wziął prześcieradło, rozpostarł je, położył na nim pierzynę, a następnie poduszkę, a następnie związał to prześcieradło w cztery rogi. Następnie podszedł do drugiego łóżka i tak samo zaczął pakować. Następnie podszedł do szafy i wziął sukienki mamy do garści i rzucił do rzeczy przeznaczonych do zabrania mówiąc: wam eto wsio prygaditsia. /wam to wszystko przyda się/

Dzięki niemu mieliśmy ze sobą pościel, pozawijaną w rogi. Ten Sowiet nam to pomagał zapakować. Ale obecni przy tym Polacy stali z ponurymi minami i pilnowali, żeby się nie ruszyć nie uciec. Bardzo paskudnym człowiekiem był ~~ten~~ Sowiet, ubrany w skórzany płaszcz. Nie mogę - w tej chwili - przypomnieć jego nazwiska. A jeden z nich z karabinem tylko stał, nic nie robił.

W domu mieliśmy taki kosz na wypadek pożaru. Był to duży, pleciony kosz. W nim była jakaś pościel włożona i jakieś inne

jeszcze rzeczy. Mieliśmy też duże walizy. Mama bardzo bała się, żeby oni nie dostali się do tych waliz, bo tam były jakieś dokumenty, których oni nie powinni byli znaleźć. A to nam było potrzebne, bo tam były wartościowe rzeczy. W końcu zapakowaliśmy kosz.

Sowieci zażądali nas na furę, która przez cały czas stała przed domem. W naszym domu oprócz naszej rodziny mieszkała ciocia oraz dziadkowie. Ciocia przyjechała do nas a raczej uciekła z Pńska. Przybyła razem ze swoim mężem, nauczycielem. Przyjechali tak, jak stali. Bo gdy zaczęła się wojna i gdy do Pńska weszli Bolszewicy, to wyczyniali tam niestworzone, straszne rzeczy. Podobno wielu Polaków wówczas wymordowali.

Kiedy nas aresztowano i kazano nam się zbierać, wpadła do nas ciocia z płaczem. A wówczas ten w skórzanym płaszczu-terez przypominam sobie jego nazwisko - Szpakowski, miał więc polskie nazwisko, wyjął z kieszeni pistolet i groząc nim wołał: cichi, bo strelat budu. Chodziło im o to, żeby cała operacja przebiegała cicho, żeby nawet bliscy sąsiedzi nie zorientowali się, co się w pobliżu nich dzieje.

W szkole przetrzymano nas do rana. Pamiętam, że z nami w szkole była żona komendanta policji, ze swoimi córkami. Ta pani nazywała się Stobryn. Byli jeszcze jacyś inni ludzie, których nazwisk już teraz zupełnie sobie nie przypominam, ale jacyś ludzie z nami byli.

Mano podstawiono samochód, który zawiózł nas do stacji kolejowej w czarnej Białoostockiej. Wówczas ta miejscowość nazywała się Czarna Wieś. Tam czekał już na nas długi skład towarowych wagonów. W pobliżu kręciło się pełno tych "bajców" z

karabinami, na których były osadzone "sztyki", /bagnety/. Kiedy tam zajechaliśmy, otwarto wagon, do którego wsiedliśmy. W wagonach było zimno. To było trzynastego kwietnia. Dni były zimne. Kwiecień u nas nie jest jeszcze ciepłym miesiącem, a ten miesiąc był przecież po wyjątkowo surowej, mroźnej zimie. Było nam też dlatego zimno, że byliśmy bez śniadania. W dodatku byliśmy niewyspani.

Wagony miały dwie prycze. To znaczy, że był "parter" oraz pierwsze i drugie piętro". W sumie do naszej dyspozycji były trzy płaszczyzny. Ci, którzy byli na dole prycz, mieli najgorzej, bo z braku powietrza dusili się. My trafiliśmy na pryczę środkową, gdzie też było nie najlepiej. A nad nami byli jeszcze inni.

Na pryczach było niesamowicie ciasno. Kiedy jedna osoba przewracała się, to musieli jednocześnie przewracać się wszyscy. Usiąść na pryczy też nie można było, gdyż prycze były bardzo niskie.

W Czarnej Białostockiej staliśmy bardzo długo. Pamiętam, że tam nocowaliśmy nawet, zanim załadowano cały ten skład. Ludzi było bardzo, bardzo dużo. W czasie czekania, dopiero wówczas zachciało się nam jeść. Dokuczało nam zimno, a i spać nie bardzo było gdzie. I w dodatku przerażenie, które potęgowało atmosferę grozy.

Kiedy jeszcze wychodziliśmy z domu, na krześle przy piecu stał niewielki woreczek sucharów. Był to woreczek, który pełnił wcześniej rolę nawleczeni na poduszkę. I my, w ostatniej chwili wzięliśmy ten woreczek sucharów. Już na podwórku podszła do nas drżąca ze strachu lokatorka i dała nam nieduży, kamienny słoiczek smalcu. I to było wszystko, co zabraliśmy

ze sobą do jedzenia. A w domu w kuchni został worek mąki. Bo gdy wybuchła wojna, porobiliśmy duże zapasy mąki, kaszy i innych produktów. I nic z tych rzeczy nie wzięliśmy. Nie wzięliśmy też naczyń - ani kubka ani nic.

W naszym wagonie byli też ludzie ze wsi. Niektórzy z nich mieli piły i siekiery. Byli ludzie, którzy mieli trochę więcej rzeczy i byli tacy, którzy nic nie mieli, i tacy, którzy mieli niepotrzebne rzeczy/brali, a może się przyda/.

Do zapełnionego już wagonu wepchnięto nauczycielkę, podobno z Czarnej Białostockiej, młoda, ładna, ruda, dużo włosów na głowie, w pięknej sukni. Płaszcz z kołnierzem, pamiętam ją jak dzisiaj, na jednym ręku dziecko kilkumiesięczne w beciku zdaje się, a w drugiej małeńka walizeczka z dziecięcymi fatałaszkami. Nic nie miała. Biedna ona była. Niektórzy mieli ze wsi jakieś półcie słoniny solonej, jakiś bochen chleba, garnoczek czy wiadro, niektórzy - nic. My z tych rzeczy nic nie mieliśmy, tylko te suchary i ten słoik smalca. Na środku wagonu mała dziurka. A wszędzie tłumoki, nie można było się ruszyć, przejść.

wieźli tak nas do granicy, Baranowicze. Inne wagony, szersze, bo u nich inne tory. I znowu ta ciasnota, ziąb, a jednocześnie duszno, nie ma czym oddychać. Dziurkę kwadratową czymś zasłonili. Okienka zakratowane pod samym sufitem. I znowu leżymy i znowu głowy nie można było podnieść, usiąść. A ci na dole, to się dusili. Jednocześnie te koła od wagonu stukają nie do wytrzymania.

Jechaliśmy cały miesiąc. Wyjechaliśmy 13 kwietnia, a przyjechaliśmy na początku maja, do Pawłodaru. W drodze, już za granicą pociąg bardzo rzadko się zatrzymywał. Jechał

dzień i noc. Jak się zatrzymał na stacji, to tylko trochę drzwi uchylono, bojcy z karabinami - po dwa człowieka po wodę. Kto miał wiadro czy czajnik to brał po dwa w rękę, żeby jak najwięcej przynieść tej wody. Jak przynieśli te dwa wiadra kipitoku, to trzeba było to podzielić. Kubków nie było. Było nas czworo - ja, dwóch braci i mama, to dostaliśmy po pół kubeczka tego kipiateru. Jedliśmy w drodze te suchary, trochę smalcem się smarowało. Suchary były wydzielane, bo nie wiedzieliśmy na jak długo mają nam starczyć. Głód był straszny. Picia codziennie na pewno nie było. Ludzie umierali. Pociąg zatrzymywał się, ludzi wyrzucano, a pociąg dalej jechał. Nikt z rodziny nawet nie mógł wyjść.

Jechaliśmy przez Ural. Dopiero jak przejechaliśmy góry Ural, dopiero daleko, daleko - blisko miejsca przeznaczenia to uchylali nam trochę wagony. Przywiezli nas do Pawłodaru. Jest to bardzo duże miasto wojewódzkie. Olbrzymi płot, a na nim ludzie kupkami, rodzinami. Płot, z desek szeroki, wysoki i na to jeszcze raz deski przybite. Tylko niebo było widać, bo ten płot był bardzo wysoki, bardzo szczelny i jeszcze bojcy chodzili naokoło z karabinami. Nikt stamtąd by nie uciekł - nie znaliśmy języka rosyjskiego, byliśmy bardzo daleko, bez pieniędzy.

Na tym ogromnym placu był mały domek. Nie było tam żadnych pokojów tylko jedna duża sala i tam ludzie starsi, chorzy, dzieci nocowali, Reszta nocowała przy swoich tobołkach, bo bano się kradzieży. Noc była strasznie zimna. Mama wzięła mnie i młodszego brata Jurka, żeby nas tam gdzieś umieścić, żebyśmy się położyli na te gołe deski, bo nikt pościeli nie wyjmował. Pamiętam, że było tak ciasno,

że nie można było przejść. Głowa przy głowie. Na górę prowadziły strome schody. Mama szła po tych schodach i znalazła takie miejsce, że myśmy kucnęli. Mówiła - broń Boże, nie ruszajcie się, to potem będzie można nogi wyciągnąć. Wracając z powrotem, nie było elektryczności i po tych schodach spadła na plecy i się potoczyła. Plecy zrobiły się granatowe. Myśleliśmy, że złamała kręgosłup. Jęczała. Siedziała tam, nocowała ze starszym bratem. Brat miał czternaście lat. To był dzieciak. Był bardzo wysoki. Tak przecierpiała całą noc.

Rano przyszedł lekarz na środku placu z małym stolikiem. Dowlokła się mama do tego lekarza, chociaż były kolejka, a on mówi - nic nie zrobię, was trzeba położyć, wysmarować. To był stary człowiek, pamiętający jeszcze lepsze czasy. Rzeczywiście nie miał proszków na przeziębienie, na ból głowy, nic. Przyszedł, żeby ludziom pokazać, że jest wracz.

Na drugi dzień przyjeżdżały ciężarówki i zaczęto nas wywozić. Jednych wywozili gdzieś za Pawłodar, jak się okazało do kołchozu. Jak trafić do kołchozu, to można było przeżyć, bo między ludźmi nikogo nie zostawiali. Gdzieś tam wywozili w głąb, ale jak w kołchozie, to pracowało się tam cały rok, to dostawało się trochę mąki, ziarna. Ciężko było, był głód, ale można było przeżyć.

Natomiast nas i bardzo wielu innych ładowano na ciężarówki. Obok Pawłodaru przepływała rzeka - Irtysz, bardzo głęboka i burzliwa rzeka. Fale, tak jak na morzu. Brzegi ledwie było widać. Wiozą nas nad ten Irtysz. Patrzymy stoi "parachod" to jest taki statek, który ciągnie barki. Parachod ciągnął dwie barki na długich linach. I na te barki ładują ludzi. Jedna była już naładowana ludźmi, tam, gdzie się węgiel wozi. Reszta ludzi na tą drugą. Jak wszyscy znaleźli się na bar-

kach to holownik ruszył. Wszyscy się bali, bo myśleliśmy, że nas tam potopią w Irtyszu. Ubikacja była na wystających do rzeki palach. Wszystko to się ruszało i było niebezpiecznie. Kolejka była duża. W nocy były wypadki, że ludzie się potopili. Światła nie było, mógł ktoś nogę postawić obok. Jak się szło, to jeden trzymał.

Podobno w nocy dwie barki o siebie stuknęły. I tak potem myślałam już jako dorosła, że jakby stuknęły, to mogły się zatopić, bo były naładowane, albo bok przebić. Ale może lekkie było stuknięcie. W każdym bądź razie ktoś tam wpadł, ktoś uległ wypadkowi. W każdym razie jak się w nocy obudziłam, to były krzyki, fale, wrażenie było straszne.

Jechaliśmy chyba trzy dni tym parachodem, głodni, brudni od miesiąca. Wyładowano nas w Irtysk. Irtysk to jest osada i jakiś baraczek. Nad wodą. Niedaleko od tego Irtysza była osada. Domy lepione z gliny, bez dachów/płaskie dachy/. Niektórzy ludzie pobiegli, żeby coś kupić czy wymienić w tych domach. Niektórym udało się dostać kubeczek mleka czy jajeczko. A w ogóle to nie chcieli z Polakami gadać. W tym baraczkach była rejestracja, gdzie kogo kierować. I dostaliśmy bochenek chleba i głowę cukru. Mama przyniosła nam ten chleb, po kawale, po kawałku cukru. Chleb świeży od miesiąca. Bo raz nam dali w drodze zupę "szczy", że się wszyscy od niej pochorowali. I raz w nocy, kiedy wszyscy nie spali, pociąg się zatrzymał - wstawać w banię. W ogromnej łaźni były dezynfekcja. To było raz.

Dostaliśmy chleb, jesteśmy szczęśliwi. Dalej rejestracja kierują w różne miejsca. Po nas przyjechała ciężarówka. Trzy czy cztery rodziny - były to ciężarówki małe. Cały dzień siedzieliśmy i na noc przyjeżdża ciężarówka, czy też noco-

waliśmy nad Irtyszem, nie pamiętam. wiem, że przyjechała ciężarówka, załadowano kilka rodzin. Jedną panią doskonale pamiętam. Miała dwóch synów i ona. Nas było czworo - to sześć. Jeszcze jedna - to zdaje się było ich siedmioro, i matka stara i babka i jeszcze ktoś.

Pani Swiderska, żona policjanta. On tu pracował przed wojną. W czasie wojny zginął w Ostaszkowie, a ona uciekła. Wyjechała, bo miała gdzieś syna, gdzie dokładnie nie pamiętam, gdzieś za Grajewem. I przyszli w nocy zabierać ją z chłopcami. Jak zastukali, to syn otworzył okno i uciekał przez to okno, a ona siedziała. Oni otoczyli dom i jak on uciekał to go zastrzelili. A oni okazało się przyszli po nią, nie po niego. Mógł żyć. I ona cały czas płakała, a oni nie pozwolili jej go zobaczyć.

Spotkaliśmy się już tam na miejscu z Poznańskimi z Wasilkowa. Bardzo biedni ludzie. Ojciec może był narodowcem, siedmioro dzieci. Matka umarła tam, umarło troje dzieci, a stara babcia i czworo dzieci wróciło.

Wsiadamy na ten samochód. Jest noc, a tam noce są granatowe. Samochód jechał bardzo szybko. My siedząc na tobołkach trzymaliśmy się razem, bo strasznie trzęsie. Kierowca ma przed sobą oświetloną polną drogę i jedzie przez step, którym można było jechać setkami kilometrów. Fociągiem też jechaliśmy nieraz kilka dni i nie widać było ni osady, ni drzewka tylko step. Kobiety płakały - gdzie oni nas wiozą?

Od Irtyska do tej centrali gdzie nas przywieziono było około 70-80 kilometrów. To jest bardzo daleko samochodem. Myśleliśmy, że wyskoczymy z tego samochodu jak piłka. Cud był, że tak się nie stało.

Przywieźli nas na miejsce. Ciemno. Jakiś barak, wyładowano nas i siedzimy do rana. Rano obudziliśmy się, patrzymy - osada.

I znowu domki z gliny. Nie ma szczytów, płaskie, okienka ma-
lutkie tylko takie krateczki. Płoty są niskie też z gliny,
szerokie bez bramek. W zamożniejszych domach to płot tro-
chę z gałęzi pleciony. Taka biedota i nędza.

Biegniemy do tych domków, żeby coś kupić, napić się. Oni
nie chcą. Przeważnie byli to Kirgizi. Chłopcy mieli głowy
wygolone i takie pejsy. Kobiety ubrane w długie koszule,
które kiedyś były białe, na to białe prześcieradło z wycię-
ciem. Tak chodziły ubrane. Jakiś warkocz, chyba nigdy nie cze-
sany, i na końcu tego warkocza pieniążki dziurawe - dużo.

Byliśmy w tej centrali i po południu przyjeżdża samochód
i znowu nas ładują - kilka rodzin. Wieźli już niedaleko, bo
chyba 15-16 kilometrów.

Centrala to był sowchoz i potem rzucono oddzielenie
tzn. dwa baraki tam, za dziesięć też dwa znowu. Nasze oddzie-
lenie było numer 3. Przywieźli nas wieczorem. Stoi barak,
nowo ciemna. Długi korytarz, otwierają drzwi i tak jak chle-
wek.

Wychodzi zarządzający - uprawiajuszczki, Kozak na krót-
kich nogach, z wąsami plując przed siebie. W kirgiskim stroju
Kirgiska wyniosła "kopciuszkę". Coś między sobą rozmawiają.
Wchodzimy do środka. Izdebka nieduża. Na środku małe okna.
Ściany może kiedyś były bielone, niski piecyk gliniany z
jedną dziurą. Pani Swiderska, która miała ze sobą łóżko
bez siennika, łóżko to było z siatką. Miała też kawałek
słoniny solonej. Ponieważ nie miała siennika do łóżka, to
piołun przynosiło się.

W kącie z tobołkami my, a tu druga rodzina, potem oka-
zało się też z Wasilkowa, Sochoniowa - kobieta młoda miała
troje czy też czworo dzieci.

Zamknęli nas iznowu spanie na tych tobołkach. Nikt nie spał, wszyscy myśleli jak będziemy dalej żyć.

Rano, ledwie słońce wstało przez ten korytarz długi słyszemy głos Kirgiza, bez ręki nazwaliśmy go "Sucha rączka", który krzyczał - dawaj do roboty, dawaj, niczego, dawaj. I miał pychę. Jeszcze nie zdążyliśmy się rozpakować, odpocząć, a on nie tylko do roboty goni. Pobiegł wzdłuż korytarza do innych Polaków.

Patrzyny, a przed drzwiami stoi wóz zaprzęgnięty w dwa byki, bo tam koni nie było. Załadował te polskie kobiety na wóz i powiózł w step do roboty. Myśmy zostali - dzieci. W baraku było trochę ruskich. Byli oni bardzo biedni tu, bo w kołchozie to oni mieli domeczki, a tu barak oskubany, brudny, glina odpadła. Korytarz ciemny, podłoga gliniana powybijana. Na końcu korytarza znowu kajutka. Wiem, że tam byli Poznańscy, którzy mieli siedmioro dzieci i jeszcze jakaś polska rodzina. Byli Konopkowie z Grajewa, Miszewscy, Jankowscy i była pani Budkiewiczowa ze Lwowa, właścicielka majątku, prawie hrabina - młoda z dwojgiem dzieci.

Jako dzieci wybiegaliśmy na step. Nie było ani drzewka, ani górki, ani kamienia po prostu niebo łączyło się z ziemią. Nikt tam nie chodził, ale jeśli jakaś furka jechała, to wszystko było widać. Nie było trawy, nie było zieleni, tylko suchy step.

W drugim baraku też mieszkali ruscy. Mieli też po jednej izdebce. Trzeci barak był niezamieszkały.

Ruskie patrzyli na nas jak na jakieś dziwolągi - dzieci, a naszych matek nie było. Wieczorem jada z pola zmęczone, brudne, głodne. My też byliśmy głodni, że aż skręca kiszki. Trzeba coś gotować, ale jak, ale co?

Przyszedł uprawiający, ten Kirgiz. Mało mówił po rusku, ale rozumiał dobrze. Mama miała skończoną szkołę rosyjską i bardzo dobrze po rosyjsku mówiła. I prosi go, żeby jutro jeszcze nie jechać do roboty, żeby jeszcze dał ten dzień wolny. Jak narzekali, że on był niedobry, to okazało się, że nie był aż taki zły, bo dał wolny dzień.

Nie było ani garnka, ani wiadra. Ruskie też nie mieli, u nich w izbach nie było szaf. Ale podłoga gliniana była u nich równiutka. Żelazne łóżka bez pościeli. W sowchozie była straszna bieda. Mężowie tych kobiet pracowali na traktorach gdzieś w stepie i tam gdzieś w wagonie mieszkali. Przyjechali zobaczyć Polaków na szósty dzień-wychadnoje. A potem ja ich nie widziałam przez półtora roku.

Problem z gotowaniem był wielki. W końcu znalazł się jakiś "czychunny" garczek. Poszła mama prosić, żeby wymienić coś, ale oni byli nastawieni na Polaków, że to byli kapitaliści. Mama za prześcieradło dostała 10 litrów mleka, ale po pół litra. Ona bardzo chciała mieć to prześcieradło, a mleko to było całe jej życie. Mleko i pszenica-więcej nic tam nie było.

Pół litra to był kubeczek mleka, trochę miała mąki to zabieliła zacieruchę. A gotowało się w stepie. Robiło się dziurkę i na to dwa żelazne pręciki, i tam wsadzało się garnek.

Drzewa nie było, więc szło się w step i zbierało piołun. Takich piecyków było dużo. Trzeba było rano wstać, żeby zjeść bo Kirgiz nie dał zjeść, tylko- na rabotu, dawaj, w takiej małej izdebce był problem spania. Ja spałam na kosiszu, młodszy brat na tłumoku, a starszy z mamą szedł przed drzwi i na stepie spali. Nie można się było pomieścić.

Tam zaczęły się straszne, niesamowite upały. Ziemia pę-

kała. Plac przed barakami był jak skała, a dalej sucha trawa. Jeść nie było co. Głód był. Kobiety myślały o swoich mężach. Czy w obozie, czy w więzieniu, ale on dołtaje tę strawę. A my nie mamy. Musimy zdobyć, żeby coś ugotować i musimy myśleć o dzieciach.

Pani Swiderska miała tę skrzyneczkę tych boczków. Ja pamiętam, jak ona to jadła, ale nikt nikomu nie dał plaśterka.

A ta biedna kobieta Sochoniowa ztrojgiem czy czworgiem dzieci, troje to pamiętam doskonale. Jeden miał sześć, siedem lat, dziewczynka mogła mieć pięć, a chłopczyk mały dwa latka. Biedna nie miała nic, ani na zmianę bielizny, ani sukieneczyny, ani tym dzieciom, bo im w Polsce było źle. Ich ojciec był narodowcem. Być może gdzieś kiedyś krzyknął "bij Żyda" i takich ludzi wywieźli. Ona była niezaradna. Wszy po niej chodziły. I tamtą rodziną opiekował się ten chłopczyk siedmio, ośmioletni. Był mały, ale wygadany i wszędzie wlaźł. Ona siedziała w domu. Brali ją na roboty, ale ona była do niczego. Skaś chora. I ten chłopak biegał w step i zbierał kłosa, które leżały kilka lat. Tam pszenicę sieją, ale te kłosa były jęczmienne. I myśmy wszyscy też chodzili. Potem kijem biło się ten kłos, potem na wnetrze, żeby wywiało plewy i to się gotowało. To było coś wstrętnego, bo pszenicę to się dało jeść, a to było szorstkie. I on to gotuje im. Wody nie było. Była studnia, ale strasznie głęboka, że dna nie było widać. Jeździli 15 kilometrów od naszego oddzielenia, tam była wieś wymarła z głodu w 1933r. Nikt tam nie mieszkał. Tam była woda i stamtąd ją przywozili. Jechały dwa byki i wiozły trzy beczki wody. Rodzin ruskich nie więcej jak pięć było, i dwóch czy trzech Kirgi-

zów z rodzinami. Każda rodzina miała krowę. I miała pierszeństwo jako ruska, bō i krowę miała, i tę wodę jako ruska. Myśmy byli Palaki, jak nas tu przywieźli, to nam powiedzieli - wam tu podychać. Byliśmy skazani na zdychanie. Więc jak oni pobrali tę wodę, to można było po pół kubeczka nacedzić tej wody. Nie było gdzie się umyć.

Trzeba było sobie jakoś radzić. Mama w naszym baraku znalazła kawałek zardzewiałej blachy. Następnie zachyliła brzegi tejże blachy w taki sposób, że uzyskała w efekcie coś takiego, jak nasze blachy do pieczenia ciasta. I w takim to naczyniu można było trochę się umyć.

Ten fakt daje jakieś takie wyobrażenie, jakie tam mieliśmy warunki. Były one straszne. Wówczas mama - w najwyższym zenerwowaniu, zdesperowana do ostateczności - napisała list do Polski. Ku naszemu zaskoczeniu, ten list doszedł. Szedł cały miesiąc. A tu dziadek - mamy ojciec - bo nasza mama zmarła wcześniej - i ta ciocia dowiedziała się, że mogą nam wysłać dwie paczki w miesiącu. Każda z nich nie mogła ważyć więcej niż osiem kilogramów razem z opakowaniem /brutto/. Było to dla nas wiele.

Ciocia, nie wiele myśląc - wysłała nam te paczki. Przez miesiąc czy dwa można było wysyłać paczki stąd - to znaczy z Białegostoku. Później - z powodów nam nieznanych i niezrozumiałych - zabroniono. Ale wówczas ludzie w jakiś sposób dowiedzieli się, że można wysyłać z Baranowicz. Nie pozostawało nic innego: robiono takie dwie paczki i wieziono je do Baranowicz.

Z nadaniem paczki też nie były prosta sprawa. Jeśli okazało się, że waga paczki przekraczała wyznaczony limit o kil-

kadziiesiąt gramów - nie przyjął. Należało wówczas paczkę rozpakować i zmniejszyć jej ciężar.

Mimo tych trudności ciotka przysyłała nam te paczki. Otrzymaliśmy je kilka razy. Zwykle w takiej paczce było kilo mąki, jakieś masło topione, kawałek słoniny, trochę cukru i herbata - pamiętam, że wówczas dużo było herbaty "kirpicznej". Do tego dochodził niewielki kawałek mydła i to już była cała paczka.

Otrzymanie takiej paczki w tamtych warunkach - to było wielkie szczęście. Bo warunki tamtejsze były straszne. Panowały okropne upały. Gdy kobiety wracały wyczerpane z pracy, myśmy wychodziły im na przeciw, na drogę. I widziałyśmy te nasze matki wyczerpane do ostateczności. Myśmy oczywiście byli głodni, a i one też głodne i w dodatku śmiertelnie zmęczone.

A mój starszy brat był bardzo wysoki. Na tej podstawie kazano mu iść do roboty. Mama mówiła, że on ma dopiero czternasie lat. Tego jednak nie brano pod uwagę: ma iść do roboty i koniec.

W naszej miejscowości było siedem rodzin miejscowych co oznaczało, że jest tu też siedem krów. Tak się złożyło, że nie było komu ich paść. Przez jakiś czas krowy chodziły samopas. Pszenica była daleko, ale krowy pilnować trzeba było. I wówczas mama poddała myśl, że może to robić mój brat. Miejscowi tego chcieli, a i mama była z tego zadowolona. Dotychczas on musiał pracować często, bo zabrano go do roboty na tych brygadach. A tam trzeba było nosić bardzo ciężkie worki z pszenicą. Było to zajęcie stanowczo za ciężkie dla takiego chłopca. Ten ostatni wzgląd przesądził o tym, że on będzie pastu-

chem. Zapłatą było pół litra mleka od krowy w wymiarze miesięcznym.

Pamiętam, jak pierwszy raz on wypędził krowy do pasienia. Krowy były nieprzyzwyczajone. W jednej chwili - jak konie - podniosły ogony do góry i rozbiegła się - każda w inną stronę. Bo one nie były przyzwyczajone. Patrzące na to Sowietki zaczęły z oburzeniem komentować, że on i tego nie potrafi, że nic z tego nie będzie.

A następnie myśmy poszli w step zbierać piołun, który był w tamtejszych warunkach stepowych opażem. Zbierało się go w ten sposób, że układało się sporą wiązkę, którą następnie przewiązywało się sznurkiem. Taką wiązkę należało załadować sobie na plecy. A myśmy wówczas byli dziećmi: ja wówczas miałam dwanaście lat. Aby to załadować, taką wiązkę, którą składała się z różeg - kładło się wzdłuż, a następnie brało się na plecy i głowę. Następnie biegło się z nią jakiś kawałek i padało się, bo była ciężka. To było uciążliwe, ale coś trzeba było robić.

Kiedyś myśmy poszły w step w tym kierunku, w którym mój brat pasł te krowy. I wówczas zobaczyliśmy w pobliżu wilki stepowe - białe. Wilki stepowe są bardzo groźne, bo z reguły były groźna.

Z innych przygód związanych z pasieniem krów pamiętam, że jedna z krów powierzonych bratu gdzieś uciekła w step. A step rozciągał się na setki, a nawet tysiące kilometrów. Pasienie okazało się zajęciem niewygodnym i brata zabrano do brygady. Tam również był pastuchem tyle, że tam pasł wielbłądy.

W stepie stał wagon, który w miarę potrzeby był przewożo-

ny /przetaczany/. W tym wagonie ludzie tu pracujący / według nazewnictwa miejscowego: raboczyje/ spali razem- kobiety i mężczyźni. Wagon w środku był pusty. Spano w wagonie lub pod wagonem, bo już dni były bardzo gorące.

Była też kuchnia polowa: kocioł, w którym jakaś baba gotowała pochłopkę. Robotnikom przywożono też chleb z centrali. Jeśli chleba było więcej, to sprzedawczynie dawała go więcej, czasem nawet i dodatkowy bochen. Najpierw obdzielała swoich roboczych według normy, która wynosiła ileś gram - nie pamiętam. A dopiero potem - obdzielała Polaków. Bo Polacy też pracują.

Kobiety pracowały /Polki/ przy zbożu. Były tam takie tuki pszenicy, które trzeba było przewracać z jednej strony na drugą. Chodziło o to, żeby leżący w gromadach pszenica nie porosła. Trzeba też było pleć, co było zajęciem bardzo męczącym, bo trzeba było pracować w straszliwe upały na słońcu. Ale tam bez pracy nie można było siedzieć. Ale i też problem: jak pleć, jeśli są tego tysiące kilometrów? Ale coś trzeba było robić.

Pracowaliśmy na siewnikach, które ciągnął traktor. Goniono nas do roboty bez przerwy. Była to robota stepowa i bardzo daleko.

W brygadzie było bardzo dużo wielbłądów, które skądś przyniesiano i trzeba było je paść. To było ciężkie zajęcie. Brat z innymi spał gdzieś pod wagonem. Pewnego razu jeden z Rosjan powiedział mamie - bo brat, nie wiem dlaczego, nie powiedział tego mamie - że .. wasz syn ma kurzą ślepotę. I to było prawdą: gdy słońce zachodziło - on nic nie widział. To bardzo mamę zaniepokoiło: wiedziała przecież, że on jest w

brygadzie, może gdzieś pójść i nie wrócić. Może zginąć, bo tam ludzi w ogóle nie było.

Jeść nie było co. Żadnych witamin. Trochę tej pochlopki. Dawali trochę chleba, ale tylko do czasu: nam przestano go dawać - otrzymywali go tylko Rosjanie. Brat dostał wówczas wrzodów. Na szyi, a następnie na siedzeniu były wrzód na wrzodzie. Nie było tego czym leczyć, nie było do kogo z tym iść. Przy tym wzroście był przeraźliwie chudy. I w dodatku ta kurza ślepotę. I nie było co mu dać na tę kurzą ślepotę, bo tak czekać nie było można.

Pamiętam, jak mama rzucała nas pod wieczór i biegła do brygady, żeby być przy nim. Była zawsze przeraźliwa myślą, że on może gdzieś wyjść, a że poruszał się wieczorem po omacku, mógł nie wrócić i zginąć.

Brat był pastuchem do jesieni. Dopiero jesienią, ze względu na kurzą ślepotę - zwolniono go. Od tego czasu był razem z nami.

Jak powiedziałam, panowały straszne upały i panowała wyjątkowa susza. I wówczas zapalały się stepy. Trudno powiedzieć, co było tego przyczyną: albo może iskra z traktora a może przyczyną był upał. Pamiętam, jak paliły się stepy. Na stepie wszystko widac, bo do horyzontu wszystko jest gołe. I widać było, jak paliły się stepy na obszarze zajmującym połowę pola widzenia człowieka. Pożar sprawiał wrażenie, że jest od nas bardzo blisko. Pożar trwał przez trzy dni. Nocą luna sprawiała straszne, groźne wrażenie. Podobnie było w dzień, też groźne wrażenie.

To był prawdziwy cud. Bo gdyby wiatr był w naszym kierunku, to by nikt z nas nie wyszedł z tego cało, nikt by nie o-

calał. Ogień dosięgał wszystkiego, bo stepy były bardzo suche. Zdarzało się podobno, że wiatr przerzucał ogień na kilometr. Przed takim pożarem w takich warunkach nie było ratunku. Zatrzymanie ognia nie wchodziło w ogóle w rachubę. Żadnej straży pożarnej oczywiście nie było. To była klęska. Ludzie próbowali uciekać, ale przed tym nie można było uciec. Pożar pożerał wszystko, co przed sobą napotkał i nie było na to siły.

Gdyby wówczas wiatr obrócił się w naszym kierunku, to by nas wszystkich spaliło. Ale mieliśmy szczęście: pożar był ogromny, ale też i wiatr wiał w stronę tego pożaru, jakby od nas i pożar odsuwał w tamtą stronę.

Ponieważ wówczas w tamtych stronach nie było ani "toczek" / "toczka" to radiofonia przewodowa / ani gazet, nikt też nie przekazywał nam żadnych wiadomości - w tym wypadku Rosjanie byli w takiej sytuacji - nikt tak naprawdę nie wiedział, jakiego sroźmiary i skutki tego pożaru. Domyslały się jedynie, że tam musiały dziać się straszne rzeczy. Przecież pożar był widoczny przez trzy dni i trzy noce i zajmował połowę horyzontu.

Głód był niesamowity. Tę biedną kobietę, o której mówiłam, zabrano od nas. Krótce ona zmarła z głodu, a następnie dwoje dzieci - również z głodu. A jedno dziecko - dwu lub trzyletnie dziecko zabrano do "dzietdoma", który funkcjonował przy centrali. To dziecko przeżyło. Nie umiało mówić po polsku. Ale już po amnestii, kiedy po wojnie nas zabierano - ktoś z Polaków pamiętał na szczęście, że to jest polskie dziecko. Zabrano go i przywieziono do Polski. To dziecko wówczas nie umiało mówić po polsku. A ta biedna kobieta i dwoje dzie-

ci... rodzinie państwa Poznańskich też umarła z głodu kobieta i troje dzieci.

Przyszła rodzina. W naszym pomieszczeniu mieszkaliśmy we dwie rodziny. Gnieździliśmy się w pokoju o rozmiarach jakieś cztery metry na dwa. Władze uznały, że skoro mieszkamy w dwie rodziny na takim metrażu, to już nam jest za dobrze. więc w tym baraku, o którym mówiłam, że był pusty, zrobiono "krasnyj ugołok" a zamieszkujące tam polskie rodziny po prostu wyrzuciono. Umieszczono je w takiej izbie - razem z nami w pomieszczeniu o wymiarach jakieś sześć metrów na cztery. Pośrodku stał piec z gliny.

W tym pomieszczeniu mieszkali - pamiętam jak dziś:

- pani Jankowska z trojgiem dzieci,
- pani Miszewska z synem
- pani Konopkova z trzema córkami.

Zestawienie tej liczby ludzi z metrażem daje wyobrażenie o tym, w jakich warunkach przyszło nam teraz mieszkać?

I jednocześnie postanowiono, aby nas jeszcze wyrzucić. Mama na to odpowiedziała, że nam już gorzej nie będzie niż jest. Tym samym nic nam nie zrobicie. My po prostu stąd nigdzie nie pójdziemy, nie pójdziemy tam mieszkać.

Ludzie byli chorzy. Panowała cynka. Nie było co jeść. Ludzie niektórzy byli osłabieni do tego stopnia, że już nie mogli wstawać. Leżeli jak nędzarza, łazarze. Mieliśmy świadomość, że jeśli tam pójdziemy, do tamtych warunków, to w zasadzie nie będziemy mieli najmniejszych szans na przeżycie. Wiedzieliśmy, że jeżeli mamy przeżyć, to musimy tu mieszkać. Ale słyszeliśmy w odpowiedzi: pójdziecie i już.

Kiedyś przyszedł do nas jeden z miejscowych Rosjan. W roz-

mowie utrzymanej w przyjaznej, życzliwej, a nawet serdecznej atmosferze powiedział nam bez ogródków, że my jesteśmy Polakami i z tego właśnie powodu nie mamy większych szans na pozostanie w dotychczasowym miejscu zamieszkania, że z nami jako Polakami nikt nie będzie się liczył. Bo w sytuacji, gdy "ruskij czelowiek" nie ma gdzie mieszkać, to polska rodzina musi ustąpić.

- On jest robotnik, nasz czelawiek.

Nie było wyjścia - musieliśmy w końcu ustąpić i przejść. A mieszkanie na glinie było straszne. Wówczas myśmy pościgali te bronny. Bronny - żelazne podnosiły poziom podłogi a jednocześnie izolowały od gliny. Podłoga z gliny była pełna wybojów, dołów i wzniesień. Bronny jakby to niwelowały. Bronny stawialiśmy w ten sposób, że na dole kładliśmy po dwie cegły i na nich układaliśmy bronny.

To nie było stabilne, ale nie leżeliśmy już na tej zdradliwej glinie. Pamiętam, jak kiedyś, którejs nocy to się poruszyło i zważyło.

Pamiętam, jak na dwóch bronach spała pani Dankowska z trogiem dzieci. Obok pani z córkami no i oczywiście my też na tych bronach. Było nam bardzo ciasno.

Panowała "cynga". Cynga to niezupełnie to samo, co skorbut, jak się powszechnie uważa. Skorbut polega na tym, że działa w pewnym momencie robią się granatowe, a następnie wypadają zęby. Cynga jest wówczas, gdy zęby wypadają, ale ciało na nogach przybiera barwę granatową i swoim kolorem przypomina wątrobę. Jednocześnie następują jakieś zmiany wewnętrzne powodujące podkurczanie nóg. To samo dzieje się z rękoma. I nasi sąsiedzi mieli nogi właśnie tak podkurczone, leżeli na tych

bronach. Nogi mieli granatowe i nie można było ich wyprostować. W pewnych chwilach sprawiało to wrażenie, jakby tych ludzi dotknął paraliż.

I tak leżeli ci ludzie:

- pani Jankowska i jej czternastoletni syn. Natomiast syn młodszy, sześciolatek i trzyletnia dziewczynka - która potem zmarła, on wszystkimi się opiekował. A było bardzo trudno. Leżący zaspokajali swoje potrzeby fizjologiczne pod siebie. Nie mieli siły, aby przewrócić się z jednego boku na drugi. Izba była czarna i sprawiała straszne wrażenie. A na dole leżą nędzarze o chudych twarzach, bladych. A ten chłopak, mimo tego, że nie było co jeść, gotował rodzinie pszenicę, oczywiście bez mleka i bez tłuszczu, bez niczego.

- Pani Miszewska też leżała. Również miała podkurczone i poskręcane ręce. Jej syn był zdrowy.

- Pani Konopkova była zdrowa i krzątała się koło nich jako tako.

- Wreszcie choroba dobrała się do mojej mamy. Ktoś w tym czasie powiedział, że za wszelką cenę nie można dopuścić do podkurczenia kończyny. W przypadku mamy należało przy każdej okazji wyprostowywać tę rękę. Jeśli tego zaniedbać - nie wyprostowywać podkurczoną rękę czy nogę - to ona już taka zostanie na zawsze. Mamie nogi zaczęły zmieniać barwę na granatową, a następnie zaczęły się kurczyć. Mama starała się je wyprostowywać, ale nie mogła. Liczyliśmy się z tym, że będzie bardzo niedobrze.

Natomiast ciocia, która nam przysyłała paczki, wkładała namąkę. Kiedy zaczęliśmy chorować na "cynę", zaczęliśmy prosić ciocię, aby do tych paczek wkładała czosnek. I chyba ten czos-

nak nas uratował. Brat, który przecież chorował na kurzą ślepotę -- odzyskał wzrok. Mama nadal miała nogi granatowe i podkurczone. Ja ciągałam mamę za nogi. Ale mama skarżyła się, że ją to boli i nie można było wyprostowywać bardziej zdecydowanie. Mówiono nam, że to jakaś siła wewnętrzna podkurcza tę nogę. Ale sądzę, że i mamę, po jakimś czasie uratował przysyłany w paczkach czosnek.

Powietrze w izbie, w której wszyscy przebywaliśmy - razem z chorymi - było straszne. Drzwi otworzyć nie można było, bo na zewnątrz był niesamowity mróz. Śniegi były tam obfite do tego stopnia, że szło się po jego wierzchu i po chałupie, a więc śnieg - jego warstwa była tak gruba, jak wysokość chałupy.

Prawdziwym niebezpieczeństwem Syberii w zimie są "buriany". Bywało, że jest zimowy dzień. Jest piękna, mroźna pogoda. W jednej chwili zaczyna się coś tworzyć. Zrywa się wiatr i zaczyna kręcić śniegiem. Śnieg jest tak gęsty, że ogranicza widoczność niemal do zera. Nie widać drugiego człowieka z odległości jednego metra. Wiatr bez przerwy kręci śniegiem do tego stopnia, że w powietrzu powstaje białe mleko. Takie coś można chyba spotkać tylko na Syberii, bo nigdzie więcej o tym nie słyszałam.

Wówczas, jeszcze przed tym, jak zaczął się burian, od nas do "oddzielenia" /władze kolchozowe/ pojechały dwie osoby. Wyjeżdżali przy pięknej, spokojnej pogodzie. W drodze spotkali ich burian. I zamarzli. Bo w takich warunkach, gdy nie praktycznie nie widać - nie wiadomo, w którą stronę należy iść. Wiatr jest bardzo silny, niesamowicie, miecie śnieg, człowiek jest bezradny.

- W naszych chałupach, w których mieszkaliśmy, było zimno do tego stopnia, że na suficie oraz w kątach pomieszczeń był śnieg. Koniecznie trzeba było palić. A nie było czym. Pamiętam, że paliliśmy kawałkami jakiegoś czarnej słomy. Ta słoma nie chciała się palić. Raczej tylko kopciała się. Ta słoma leżała na gromadzie, niedaleko domu, w którym my mieszkaliśmy.

Akurat zanosilo się na to, że wkrótce zacznie się burian. Mama zwróciła się do starszego brata, aby on poszedł do tej kupy słomy i przyniósł jej nieco do palenia. A burian już się zaczynał. Mama przewiązała go sznurkiem a jego /sznurka/ koniec trzymała w garści. Otworzyła drzwi naszej chałupy i w tej chwili traci brata z oczu: po prostu go nie widzi, bo przed nią jedna sciana śniegu. Zaczęła włąć do niego: Stachu, Stachu. I sama nie słyszała swojego głosu. Zaczęła się denerwować. Po chwili zaczęła szarpać za sznurek. Gdyby nie ten sznurek, to brat prawdopodobnie by zginął. Zmyliłby kierunek, a to oznacza śmierć.

Burian to nie tyle opad śniegu ile jego miecenie. Wiatr przenosi śnieg z jednego miejsca na drugie. Buriany są naprawdę straszne. One były raz czy dwa a tyle ludzi w czasie ich trwania zmarzło.

Kiedyś pewna Polka wyszła z a chałupy do innej chałupki. Szła po grubej warstwie śniegu. Doszła do tej chałupki, chwyciła się za komin i tu zmarzła na śmierć. Jały czas trzymała się tego komina. Kiedy już coś chwyciła, to bała się dalej zrobić choćby jeden krok.

Takich wypadków było dużo. I były to często wypadki z udziałem Polaków. Mówiono przy tej okazji, że jakiegoś Polce,

która miała ^{złote} zęby - ucięto głowę. Nie wiem, czy to była prawda. Ale to mogło być.

Gdyby nie paczki, otrzymywane z domu, to chyba byśmy nie przeżyli. Pamiętam taki dzień, kiedy przez cały czas nie jedliśmy. Zresztą w ciągu dnia jedliśmy tylko raz. Aby to przetrzymać, należało spać jak najdłużej. A i udawać się na spoczynek też należało jak najwcześniej. Zresztą to było niejako wymuszone przez okoliczności, bo nie było przecież światła. Izby oświetlało się za pomocą "kopciłki".

Kiedy otrzymywaliśmy paczkę, to mama starała się podzielić nas tak, aby każdy dostał chociaż po trochu. Staraliśmy się też, aby to nam starczało na jak najdłużej, bo nie wiedzieliśmy, co nas dalej czeka.

Pamiętam, jak kiedyś przez cały dzień nic nie jedliśmy. Płakaliśmy i pretensje kierowaliśmy do mamy, że my chcemy jeszcze i jeszcze. A nie było co. Wówczas mama poszła coś wymienić. Rozmawiała z taką Kirgizką, która stwierdziła bez żenady: i tak padochniecie i to wszystko zostanie. Taka atmosfera nas otaczała.

Z wymianą też było różnie. Kiedyś jedna z Polek miała ze sobą pantofle na wysokim obcasie. Pokazała im to. A one przecież w czasie, gdy było ciepło - chodziły bosy i takie obuwie widziały po raz pierwszy. Im wystarczyła na zimę kufajka, a w lecie chodziły bosy. W mieszkaniach też nic nie miały. W zimie chodziły w porwanych najczęściej kufajkach, a na nogi nakładły walonki. Takie walonki też by się przydały, ale nie można było nigdzie ich zdobyć.

Natomiast myśmy mieli takie ubrania, w jakich chodziło się w domu, w Polsce. Mój starszy brat miał ze sobą połbuty.

Ale czas mijar i jemu noga podrosła i chłopak nie miał w czym chodzić. Wówczas mama napisała do Polski. Wprawdzie ta paczka szła przez miesiąc, ale doszła.

W zimie chodziliśmy w ten sposób, że nogi owijało się szmatami, jakie tylko kto gdzie miał. Mrozy były przecież ponad czterdzieści stopni. My dzieci w ogóle w takie mrozy nie wychodziliśmy z chałupy. Nie było w co się ubrać. A jeśli udało się zdobyć jakąś kurtkę, to należało też jakąś chustką zawiązać głowę. Zawiązywało się / omotywało / w ten sposób, że było widać tylko jedno oko. Po chwili było ono całkowicie oszronione. Natomiast w miejscu, gdzie się oddychało, już po chwili była na chustce gruba warstwa lodu. Długo na zewnątrz nie można było przebywać.

Fowietrze było bardzo czyste i przejrzyste. W zimie, gdy wszystko było przykryte śniegiem, a step stanowił równinę, kołchoz, który był od nas oddalony o dwadzieścia pięć kilometrów - był widoczny jak na dłoni. To się podobno nazywa fata-morgana czy coś takiego. Widać go było jak na dłoni, a budynki kołchozowe jawiły się jak poustawiane pudełeczka. Fowietrze było czyste idealnie. Widoczność dookoła na stepie doskonała. Na stepie widać dokładnie każdą kopkę słomy czy siana. I kołchoz, przybliżony do nas. Kołchoz - to było sporo zabudowań.

Było nam naprawdę bardzo ciężko. A w izbie leżeli ci chorzy ludzie, którzy sami nie mogli nawet przewrócić się z jednego boku na drugi. I wszyscy głodowaliśmy. Wiem, że chłopak sześciolatek - syn pani Jankowskiej, która była żoną urzędnika państwowego z magistratu - wszyscy głodowaliśmy. Było nam ciężko.

Wreszcie przyszła długo oczekiwana wiosna. Śnieg i następne wody zniknęły bardzo szybko. I natychmiast słońce zaczęło przygrzewać i zrobiło się bardzo ciepło. Nadal głodowaliśmy. Ludzie, wycieńczeni, nadal chorowali. Mama miała nadal nogi granatowe, ale czosnek już zaczynał robić swoje.

Miejscowi Rosjanie nie mogli poruszać się bez zezwolenia. Jedynym miejscem, do którego jeżdżono, to była centrala kołchozu. Tam jeździł tylko "uprawlajuszczij". Nikt inny. Jego podróże miały charakter służbowy.

Kiedys uprawlajuszczij wrócił do naszej wsi i powiedział, że do nas jest paczka. Ucieszyliśmy się bardzo. Brat poszedł po paczkę do oddzielenia, które znajdowało się do nas jakieś piętnaście kilometrów. Tę odległość należało przemierzyć bezdrożem, przez goły step. Ludzie tamtędy prawie nie chodzili. Samochody tamtędy też nie jeździły, bo tam zresztą samochodów prawie w ogóle nie było. Do traktu, przez który czasami przechodzili ludzie - podchodziły szare, stepowe wilki. Ale mimo tego brat poszedł. Kiedy długo go nie było, mama wyszła mu na spotkanie, bo bała się bardzo o niego. Paczkę przyniósł.

Gdy tak teraz to rozważam, dochodzę do wniosku, że to, że myśmy przeżyli, to był cud.

Miejscowym Rosjanom, mieszkającym w kołchozie, to im było trochę łatwiej. Oni mieli swoje domki, które - jak już mówiłam - nie były ogrodzone lecz obwałowane nieco gliną. Czasem otaczał je pleciony jakby taki buran /płotek/. Bramek żadnych, oznaczających wejście nie było. Wchodziło się w miejscu, które dla wchodzącego było najwygodniejsze. Kołchoznicy mieli prawo mieć krowę. Ci, obok których myśmy mieszkali - też

krowę. Nie widziałam, żeby ktoś hodował świnie. Mogli też mieć barana, ale to też rzadko się spotykało. Jednym słowem coś tam mogli mieć. Nie za dużo - broń Boże - bo zaraz groził zarzut - "kułak". Hodowano też czasem po jednej kurce, bo kilka - to też ryzyko.

Natomiast w kolchozie ludzie mieszkali w jednej izbie. Wśród naszych bliskich sąsiadów kurki nikt nie miał. Nikt też nie hodował kota. W naszej miejscowości było chyba pięć rodzin rosyjskich i chyba ze trzy kirgizki. Nie było też ani jednego psa. Nie było kartofli, cebuli, marchewki, buraka ani kapusty. Teraz często myślę i przypominam sobie, co myśmy jedli i jak myśmy żyli.

Dochodzę, po raz niewiadomo który, że nasze życie tam było straszne. Żyliśmy pszenicą, kradzioną oczywiście. Pamiętam pewnego razu okazało się, że miejscowi Rosjanie mają żarna do mielenia zboża. Nie wszyscy je posiadali. Bo to było zakazane i posiadanie takich żaren było skrzętnie ukrywane. Ale mamie któraś z Kirgizek jakoś wypożyczyła. Żarna składały się z dwóch olbrzymich kamieni. Każdy z tych kamieni miał wysokość /grubość/ do dziesięciu ^{centy} ~~kilometrów~~. Były one płaskie i bardzo gładziutkie. Na dolny kamień nakładało się drugi kamień, w którym, po środku była dziurka do wsypywania ziarna. Ponadto do górnego kamienia była przytwierdzona rączka. Te żarna miały szybkie obroty, ale ich ruszenie wymagało nie lada siły.

Do środka żaren wsypywano pszenicę, którą kręcące się kamienie miażdżyły i na boki wysypywała się mąka. Żarna, a właściwie dwa kamienie były bardzo ciężkie. Nie wiem, kto je do nas przyniósł i jak. Ale nie one nam nie dały, bo nie mogli-

my ich obrócić. Nie mogliśmy zrobić obrotu, tak były ciężkie. Gdy rączkę trzeba było ciągnąć do siebie, to jeszcze jakos można było ciągnąć. Ale gdy następował drugi półobrot - od siebie - nie dawaliśmy rady. Próbowaliśmy robić to we dwójkę - też bezskutecznie.

Pamiętam, że całym efektem naszego wysiłku było to, że wyszło nam trochę zmiażdżonej pszenicy. To nie była mąka, bo nie mieliśmy siły obracać tych żaren. A tak bardzo chcieliśmy mieć mąkę. Próbowaliśmy nawet we trójkę i nic z tego nie wychodziło. Jedną stronę udawało się, ale gdy trzeba było odepchnąć - byliśmy bezradni. W sumie nic to nam nie dawało.

A w sprawie paczek było mniej więcej tak. Wywieziono nas trzynastego kwietnia. Gdy nas zawieziono na miejsce - był już maj. Zanim myśmy się zorientowali - minęło kilka miesięcy. Zanim przyszedł nasz list do Polski - minął kolejny miesiąc. W sumie dostaliśmy zaledwie kilka paczek. W miesiącu można było bowiem przesłać dwie paczki - o czym już mówiłam. Podobno tych paczek wysłano do nas więcej. Szły one pocztą, przez Irtysz. Był to akurat okres zimowy. Paczki jechały przez rzekę na saniach. Tam zresztą w zimie dominował transport saniami. Podobno w czasie tej podróży wybuchł jakiś pożar i część poczty spaliła się. Podobno wśród spalonych paczek była i nasza. Tak więc tych paczek nie otrzymaliśmy tak wiele.

Ale i to co otrzymaliśmy - to nas ratowało. Na naszym terenie nie było wody. W zimie topiliśmy śnieg, żeby w ten sposób uzyskać wodę. Warunki były tak straszne, że gdy dziś je wspominać, to się dziwię: jak można było to przeżyć?

Ludzie, którzy leżeli chorzy w naszej izbie, gdy wybuchła wiosna - byli przez nas wyciągani na zewnątrz, na słońce.

Słońce świeciło już bardzo silnie. Tak więc ci nasi chorzy musieli mieć bardzo mocne serca. I na naszych oczach słońce wyciągnęło z nich tę chorobę. Powoli, bardzo powoli czarny kolor nóg zaczął wracać do normalnego. Nogi powoli i stopniowo odciągaliśmy, bo dotychczas były podkurzone. Konce dokonało reszty i po jakimś czasie ci bardzo dotychczas chorzy stali się normalnymi ludźmi. Po jakimś czasie zaczęli chodzić.

Nadszedł czerwiec /1941-go roku/, gdy wybuchła wojna. Tam, jak już wspomniałam, swoboda ruchów była ograniczona, nie wolno było swobodnie poruszać się. Dlatego też jedni drugich nie odwiedzali. Kiedy, z konieczności szliśmy do naszej centrali, żeby coś wymienić, to trzeba było wyruszać bardzo rano dlatego, żeby nikt nie widział. A w centrali mieszczał się sowchoz. Ale tam nic nie mogliśmy wymienić, bo tamtejsi ludzie nic nie mieli. Naprawdę nie wiem, jak oni żyli. Chleb i trochę mleka oczywiście mieli, bo musieli jakoś żyć, kradli też pszenicę - ale w takich ilościach, że tylko dla siebie - nic na wymianę.

Warunki były tak straszne, a bieda dokuczyła nam do tego stopnia, że pewnego razu myśmy poszli /starsze kobiety, dzieci a wśród nich i ja/ do kolchozu, który był od nas oddległy o dwadzieścia pięć kilometrów. Było to dla nas bardzo daleko. Do tego kolchozu szło się drogą polną. Na tej drodze był taki kurz, że gdy się nogę stawiało to miało się wrażenie, że się stąpa po puchu. Kurz sięgał do kostek. Miał kolor niebieski i przypominał proch. Szło się bardzo dobrze po tym kurzu, ale ziemia była niesamowicie gorąca. Niekiedy trzeba było skakać, bo piekła w stopy.

Po drodze przechodziliśmy przez wieś, która leżała tak pośrodku drogi między barakami naszego zamieszkania a kolchozem, do którego zmierzaliśmy. Wieś, o której mówię, była wymarła. Stały tylko same, opuszczone budynki. Ludzie, którzy tu kiedyś mieszkali, wymarli z głodu w 1933-cim roku. Chałuppek tych było nawet dużo. Stały obok drogi i sprawiały straszny widok: dużo chałup, bez szyb, w których nikt nikomu nie mieszka.

Kiedy dochodziło się do ~~staj~~ kolchozu, w jego pobliżu zaczynały się pola szoneczników. One nam trochę urozmaicały ten monotony, stepowy krajobraz. W pewnym momencie nasza droga rozwidlała się: jedna odnoga szła na lewo, a druga na prawo. Wówczas i my podzieliliśmy się na dwie grupy. Jedna gromadka poszła w lewo a druga w prawo. Nas nie było tak dużo: może dziesięć osób. Większość stanowiły dzieci. Starszych kobiet było trzy.

Weszliśmy do kolchozu i zaczęliśmy chodzić od chałupy do chałupy. Domy były budowane w zasadzie tak samo: sionka, kuchenka i niewielka izdebka. Podłogi oczywiście były gliniane, ale ściany bielone. Bo u nas, na naszym oddzieleniu nigdy ścian nie bielono.

Mnie mama na wymianę dała wstążki, bardzo kolorowe, które kiedyś stanowiły dodatek do mojego krakowskiego ubrania. Owe wstążeczki swoim wyglądem wzbudzały spore zainteresowanie:

- O, lenteczki, lenteczki - wołały kobiety i dawały mi za jedną wstążkę dwie szklanki mąki. Można też było dostać pięć jajek, a może i więcej. Kartofli tam nie było.

Weszliśmy do jednego domu, w którym kobieta gotowała śniadanie - bo tam obiadu nie gotowano tylko śniadanie. Ona

miała ugotowane gładkie, już zimne kartofle, już rozsypujące się. Poczęstowała nas w ten sposób, że obdarowała nas po jednym kartoflu. W innych domach nas nie poczęstowano, bo ci ludzie też mieli niewiele. Jaka to była radość, że mamy kartofel. Bo my już dawno nie widzieliśmy kartofli.

W tej wsi wymieniliśmy trochę, ale też nie za wiele, bo i tu była bieda i było to tak daleko. Wszystko to działo się osiem tysięcy kilometrów od Polski.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Każda z nas niosła jakieś woreczki, które przewieszaliśmy przez ramię. Ja wówczas miałam dwanaście lat. Byłam szczupłą, nigdy nie pracowałam fizycznie, bo nam w domu w Wasilkowie dobrze się porodziło. Ojciec był przecież kierownikiem szkoły, dobrze zarabiał. Dziadek był felczerem. Mieliśmy własny dom, wokół którego rozciągał się piękny ogród. Tak że nam było bardzo, bardzo dobrze. A potem wpadliśmy w taką straszną nędzę i te okropne warunki.

Szliśmy w drodze powrotnej tą samą trasą, którą szliśmy w tamtą stronę. Woreczek, który niosłam, bardzo mi ciążył. Przekładałam z jednego ramienia na drugie co jakiś czas. Starsze kobiety, które szły z nami, miały mocne nogi, widziały, że ja nie daję sobie z tym rady, nie nadałam. Z konieczności zatrzymywały się i czekały na mnie. Nie bardzo mogły mi pomóc w tym sencie, żeby mi ulżyć, bo same miały takie same woreczki. Zresztą mój woreczek nie był taki ciężki, tylko ja byłam wycieńczona prawie do ostateczności. Bo cóż ja mogłam mieć? Kilka szklanek mąki i kilka jaj. Teraz już sobie nie przypominam - ale tych jajek to ja chyba nie doniosłam w całości, bo jak pamiętam - bez przerwy przerzucałam wore-

czek z jednego ramienia na drugie. Te jajka musiały się po-
bić tak, że do tego oddzielenia doniosłam niewiele. A te pa-
nie często na mnie czekały.

Wreszcie była taka chwila, że już nie mogłam iść, sie-
działam coraz dłużej. Wyraźnie opóźniałam marsz. Kiedy więc
minęliśmy połowę drogi, przeszliśmy wymarłą wieś - kobiety
orzekły: my pójdziemy pierwsze i powiadomimy twoją mamę. A
już zaczynała się robić noc. Bo to były naprawdę daleka dro-
ga: dwadzieścia pięć kilometrów w jedną stronę i tyleż samo
w drodze powrotnej. Dzis nie bardzo wiem, jak to było możli-
we pokonać taką odległość w jeden dzień. I ja wówczas się
rozplakałam, bo zostawałam sama i się bałam. W dodatku nie-
daleko za nami została ta wieś wymarła, wieś straszna. A tu
jeszcze wilki stepowe.

Zanim się obejrzałam, kobiety znikły i już ich nie widzia-
łam. Zostałam sama i sama wlokłam się z tym workiem. Nieco
wcześniej, po drodze nazrywałyśmy trochę tych słoneczników,
które rosły niedaleko kolchozu. Ktoś z kolchozu nawet to wi-
dział, zainicjowano nawet za nami jakąś pogon, która na szcze-
cie dla nas okazała się bezskuteczna. My, uciekając, rzucałyś-
my słoneczniki na drogę, aby osłabić ~~tempo~~ tempo pogoni. Ale
nie wszystkie wyrzuciliśmy.

Szłam sama przez jakiś czas. W pewnej chwili usłyszałam
głos mojej mamy, która głośno wołała: "Czesia". Gdy to usłysza-
łam, natychmiast odzyskałam siły, podbiegłam do mamy, a mama
biegła do mnie. I wkrótce szczęśliwie się spotkałyśmy się.
Tak więc kolchoz ten niewiele nam dawał, bo wprawdzie coś
można było wymienić, ale nie można było tego przynieść. Tym
razem przyniosłam kilka szklanek mąki, a i to było powodem

do wielkiej radości. Być może doniosłam też parę jajek - nie więcej niż dziesięć.

Później, gdy wybuchła wojna niemiecko - rosyjska, przyjechał do nas samochód z centrali. Tam zresztą samochody były wielką rzadkością. Samochód przyjechał do nas nie przypadkiem. Przyjechano po to, aby zrobić miting czyli zebranie. Zgromadzono nas na stepie, przy barakach. Usiedliśmy na ziemi. Natomiast do nas przyjechał nasz uprawiający z NKWD-ystami. W czasie tego mitingu dowiedzieliśmy się, że Niemiec, proklatyjski faszysta napadł na Związek Radziecki. Wówczas dowiedzieliśmy się, że wybuchła i gdzieś toczy się wojna.

I odrazu - chociaż wówczas nie było mowy o żadnym układzie czy amnestii - przybyli goście zaczęli z nami prawie się bratać:

- My z wami, Polakami pobiedim takuju to takuju swołocz. Byliśmy tym kompletnie zaskoczeni: takim obrotem sprawy. A jednocześnie przeżywaliśmy wewnętrznie satysfakcję. Ilu nas Polaków tam było, z trudem staraliśmy się powstrzymać uśmiech. Natomiast Rosjanie byli bardzo groźni wobec wspomnianych faszystów niemieckich. My staraliśmy się okazać swoje niby to przygnębienie, ale to zadowolenie odbijało się na naszych twarzach.

Od tego czasu zapanował zupełnie odmienny stosunek do nas - Polaków. Mówiono nam:

- Wy Polacy, jesteście teraz wolni. Jesteście takimi samymi obywatelami/ "Grażdaninami/ jak i my. Bo dotychczas byliśmy internowami, ale tak w praktyce, to na dobrą sprawę byliśmy więźniami. Nie mogliśmy się spokojnie poruszać, nikt

z nami nie chciał /bał się?/rozmawiać. Teraz to się zmieniło: oni wyraźnie złagodnieli w stosunku do nas. Ale posądkowo byli do nas nastawieni bardzo nieprzychylnie, a nawet wrogo.

Nie powiedziałam jeszcze, że przed tem nikt nami się nie interesował. Ale dwukrotnie przyjechało do nas NKWD. Urzędowali w izbie. Tam wzywali każdego Polaka. Za stołem siedział jeden z NKWD-ystów i zaczynał tak: - znam to dokładnie z opowiadań mojej mamy:

- Jak wam nrawitsia /podoba się / sowiecką władzę?
moja mama na to pytanie odpowiedziała, że nie zna ich sowieckiej władzy i tym samym nie może powiedzieć, czy ta władza się podoba czy nie. Mama powiedziała wprost:

- Jestem tu uwięziona i nie mam z nikim żadnego kontaktu. w dodatku nie ma tu gazet czy radia.

A on nie zrażał się taką odpowiedzią. Nadal pytał w końcu to samo pytając dodatkowo: skąd, ile lat i za co wywieźli. Mama odpowiadała, że mąż był nauczycielem i do żadnej partii nie należał. Nie powiedziała oczywiście, że tata należał do "Strzelca" i nawet kierował tą organizacją na terenie Wasilkowa. Był komendantem tej organizacji, a wcześniej legionistą.

w pewnej chwili zaczął zupełnie inny temat.

- Wy pochodzicie z Białegostoku?

- Tak. Dokładnie z Wasilkowa.

- To nie jest Polska, to jest Białoruś.

- To jest Polska - odpowiedziała mama.

- Wy jesteście Białorusinami i obywatelami Białoruskiej BSR i tym samym musicie przyjąć nasz paszport.

Taka rozmowa - bardzo męcząca - trwała kilka godzin. Mama nie pozostawiła żadnych złudzeń:

- Nie. Jestem Polką z krwi i kości. Cała moja bliższa i dalsza rodzina - jak mi wiadomo, to Polacy. Białorusinów w naszej rodzinie w ogóle nie było. Z tego też powodu ja waszego paszportu nie przyjmę.

NKWD-gsta tym razem wyraźnie się zdenerwował i głos jego zabrzmiał groźnie:

Nie? A czemu? Wy tej swojej Polski nigdy nie zobaczycie.

A po chwili - od początku:

- Jak wam nrawitsia sowiecka władst?

- Jak mi może podobać się sowiecka władst, skoro wyście przyszli n^oą, zabraliscie przemocą i wywieźliście z domu. A zresztą ja nie znam was i nie mogę powiedzieć, że mi się nie podoba czy podoba wasza władza.

I tak męczyli przez kilka godzin. Mama wyszła bardzo zmęczona i niesamowicie zdenerwowana.

W naszej ośadzie - jeśli dobrze pamiętam - nikt nie przyjął radzieckiego obywatelstwa.

Razem z nami mieszkali też Ukraińcy, pochodzący spod Lwowa. Pamiętam, że z nami były kobiety ukraińskie. Nasz transport był wyjątkowo długi. Pamiętam, w górach Uralu czasami można było zobaczyć, że my jesteśmy bliżej przodu, a do środka długości składu było bardzo daleko. Kiedy już minęliśmy góry Uralskie i bardzo często zaczynało nam brakować powietrza. Za pozwoleniem konwoju czasem otwierano w wagonach niewielką szparę. Był to otwór niewielki taki, że dziecko mogło wysunąć głowę. I wówczas, na zakrętach można było dopiero

zobaczyć, jak naprawdę długi jest nasz pociąg. Okazało się, że tym samym transportem jechali ludzie z naszego terenu i gdzieś po drodze dołączono wagony z ludźmi wywożonymi z terenów lwowskiego.

Ukraińcy ci nie rozmawiali po polsku. Wśród nich był młody chłopak, który histerycznie wołał, przedrzeźniając: "guzika nie damy, guzika". Właśnie ci Ukraińcy przyjęli sowieckie obywatelstwo i otrzymali radzieckie paszporty. Ale po latach, kiedy myśmy wracali - oni musieli zostać, bo ich uważano za obywateli radzieckich. Jak oni wówczas prąkali i żalowali swojej decyzji.

Wizyty NKWD-ystów były chyba dwa razy. Za każdym razem cel wizyty był ten sam: nakłanianie do przyjęcia obywatelstwa polskiego. Zachęcano na różne sposoby:

- Jak będziecie mieli paszport, to będziecie naszymi obywatelami, - i obiecywał różne rzeczy.

A nasi Polacy byli przecież tak biedni - nikt się nie zgodził. Straszono nas, ale nikt nie chciał tego paszportu. Nasza odpowiedź była zawsze jednakowa:

- Jesteśmy Polkami i chcemy polskie paszporty.

To amnestii - wcześniej jak mówiłam, goniono nas do roboty - teraz powiedziano: jesteście ludźmi wolnymi i możecie niepracować. Ale zaraz dodawano: ale my wam radzimy pracować, bo nam jest bardzo ciężko. W ostateczności wychodziło, że "możecie, ale tak naprawdę to musicie".

Do tym mitingu nikt nie poszedł do pracy. Praca była bardzo ciężka a płacono słabo - po parę rubli. Bywało i tak, że w ogóle nie wypłacano pieniędzy. Polacy stwierdzili, że już nam gorzej nie będzie bo być gorzej już nie może być i nikt

z nas do pracy nie poszedł.

Po jakimś czasie do mieszkającej z nami pani Jankowskiej przyszedł mąż. A jej mąż był gdzieś w łagrach. Przyszedł skrajnie wycieńczony. Jakimś cudem dowiedział się, gdzie jest jego rodzina. Dowiedział się albo przez Czerwoną Krzyż albo też może otrzymał jakiś list. Nie wykluczone, że pisał tu, do Wasilkowa i jemu rodzina podała nasz adres. Wprawdzie łagiernicy nie otrzymywali listów, ale on jakoś się dowiedział.

Długo zastanawialiśmy się, jak on dotarł - jak to my mówiliśmy - na taki koniec świata.

Wszedł, otworzywszy drzwi - spojrzął na swoją rodzinę - a nas w tym jednym pomieszczeniu - jak już mówiłam - mieszkało bardzo dużo - spojrzął i zemdlał. To daje wyobrażenie o warunkach naszego bytowania, skoro mężczyzna na ten widok zemdlał.

Kiedy doszedł do siebie, stwierdził:

- Pracowaliśmy tak ciężko, bez jutra. Ale myśleliśmy, że nasze rodziny mają lepiej. Dopiero teraz zobaczyłem, jak jest w rzeczywistości. I dlatego zemdlałem.

Po jakimś czasie, mama, on i jeszcze inni poszli do upraw lajuszczewo i powiedzieli tak:

- Skoro jesteśmy wolni a zima się zbliża - my musimy stąd wyjechać. Chcemy wyjechać byle gdzie, bo tu nie ma ludzi. Następnej zimy my tu z głodu i zimna nie przeżyjemy. Nie mamy już przecież ubrań. Musimy jechać gdzieś na południe. To dla nas ratunek.

Uprawlajuszczycj zdecydowanie odmawiał. Rozmowa przybrała ostry ton. I tu wydaje mi się, że ten uprawlajuszczycj nie

był człowiekiem złym do gruntu. Wydaje mi się, że bardziej udawał człowieka wiecznie złego. Jak pamiętam, ciągle chodził dził zły i wiecznie poganiał do roboty: "dawaj, dawaj". Ale w gruncie rzeczy nie był taki zły, na jakiego wyglądał i jakim się wydawał.

W rezultacie tych sporów z centrali przyjechał samochód. Przyjechały nawet dwa samochody. Były one niewielkie. Nam udało się dostać na pierwszy z tych samochodów. Na ten sam samochód - oprócz nas - dostała się rodzina pani Jankowskiej i chyba jeszcze jakieś dwie inne. Zmiesciliśmy się, bo poza niewielkimi tłumoczkami nikt żadnego bagażu nie miał. Samochód przyjechał - jak pamiętam - pod wieczór. Nie wiem, dlaczego oni takie rzeczy z reguły załatwiali wieczorami.

Samochód zawiózł nas do Irtyska. Z tego powodu myśmy byli tak szczęśliwi, że tego nie da się opisać. Ze sobą nie mieliśmy nic. Nikt nie miał ani kawałka chleba, ale cieszyliśmy się, że wyjeżdżamy. Mieliśmy bowiem całkowitą świadomość tego, że następnej zimy nikt z nas by tu nie przeżył. To był dla nas jedyny ratunek.

W Irtysku wyrzucono nas na sam brzeg rzeki Irtysz. Tam nie było żadnej przystani, a czas był taki, że było to przed sanymi mrozami. Mówiono, że wkrótce - przed mrozami - miał nadejść ostatni statek. To już nie była barka, która nas wiozła w tamtą stronę. Tym razem przyjechał statek pasażerski, ale nie chciał nas wziąć. Pamiętam, że tam był ktoś, kto reprezentował nasze interesy. Wkrótce znalazł się jakiś przedstawiciel - Polak. Zresztą myśmy tam, waląc tłumnie - weszliśmy hurmem - wtargnęliśmy na statek. Napotkanych na

statku Rosjan zepchnęliśmy na dół tam, gdzie leżał węgiel. Brestą nie tylko my tam pakowaliśmy się, bo tam już wcześniej byli Polacy. Pamiętam, jak wszyscy nerwowo czekaliśmy na ten statek: przyjedzie czy nie przyjedzie. W końcu przyjechał. Myśmy nawet chyba i biletów nie kupili. Niektórzy nawet mieli, żeby je pokazać.

Na statku było bardzo dużo Polaków. Nie tylko my, ale i Polacy z różnych sowchozów. Uciekali, skąd kto tylko mógł. Byli wśród naszych tacy, którzy byli chyba więźniami do niedawna. Przemawiał za tym ich wygląd i ubranie, a właściwie jego strzępy. Jakieś podarte kufajki przewiązane sznurkiem. Byli najczęściej bez bielizny. Często byli to ludzie młodzi, siedzieli na ziemi i śpiewali. Najwyraźniej pochodzili z łagrów.

Cały ten statek przeładowany był Polakami. Bano się nawet że może zatonać. Wprawdzie to nie było morze, ale rzeka, ale rzeka straszna.

Jechaliśmy znowu przez kilka dni - wydaje mi się - że przez dwa dni. Dotarliśmy do Pawłodaru. Tu statek zatrzymał się - i tu już czekał na nas wojskowy. Był w polskim mundurze: piękny, młody, wysoki, przystojny. Był w rogatywce i czekał na Polaków, bo wiedział, że ten statek wiezie naszych rodaków z różnych sowchozów, kolchozów i wszelkich okolicznych dziur. Kobiety zaczęły płakać, młodzi zaczęli śpiewać patriotyczne pieśni. Każdy z przybyłych był mu wdzięczny i każdy chciał go dotknąć.

Jechaliśmy gdzieś na południe, ale nikt dokładnie nie wiedział dokładnie gdzie. Jechaliśmy na południe, byle dalej od tych strasznych miejsc.

Wreszcie dotarliśmy do Siemipałatyńska. To było duże, wo-

wódzkie miasto. W tym mieście, nad rzeką była duża przystań taka, jaka powinna być, z budynkami i tak dalej. Tu było już inaczej.

Wysiedliśmy ze statku i ruszyliśmy zwiedzać miasto. W rzeczywistości nasze zwiedzanie polegało na tym, że ruszyliśmy szukać naszego, polskiego komitetu. Znaleźliśmy komitet zorganizowany. Dziwiliśmy się, że w tak krótkim czasie to wszystko zostało zorganizowane. Na czele tego komitetu stał pan, którego nazywano konsulem. On nas utwierdzał w przekonaniu, że nie jesteśmy teraz sami, że oni nami się opiekują. To był inny świat: nie czuliśmy się poniżani, że nami już tak nie pomiatają, nie gardzą nami, nie wrzeszczą na nas i nie krzyczą. Nikt już nam nie mówi, że nam tu przydzie pozdychać. Inny świat: zupełnie ale to naprawdę zupełnie inny nastrój.

W Semipałatyńsku funkcjonowały sklepy i to nawet ładne sklepy. A w tych sklepach - dziwiwo - chociaż nam tam chleba nie dawano - to w tych sklepach były w sprzedaży batony, białe a długie. Rzuciliśmy się na nie - wszyscy Polacy: bułka, bułka. Ale te bułki to nam bardzo drogo wychodziły. Chleb był tańszy i jego szukaliśmy.

Ale przecież trwała wojna i coraz bardziej przybierała na sile. Niemcy przecież nieprzerwanie szli na przód. W ciągu miesiąca od czasu naszego przyjazdu wszystkie te eleganckie sklepy zostały zamienione na fabryki pracujące na potrzeby frontu.

I wówczas już chleba nie było. I znowu zaczął się straszny głód.

W Semipałatyńsku był też rynecek, a na nim "tołkuczka".

"Tołkuczka" to w tamtejszym rozumieniu oznacza taki rynek na którym można też sprzedawać. Na ryneczku - trochę dziwnym - ciekawie się handlowało. Bo tak: jajka tam broń Boże nie uświadczysz. Ale mąkę - jeśli ktoś miał woreczek - to sprzedawał na szklanki. Sprzedawano też żółtą kaszę prosiana / z prosa/, którą również sprzedawano na szklanki. Można też było dostać białe mleko - to już było coś. Sprzedawano także "siemiczki" - pestki.

Na tym rynku nie było żadnego tłuszczu, ale to żadnego. Ale to już było dużo. Trzeba było sprzedawać swoje rzeczy. Tyle tylko, że my już nie bardzo mieliśmy co.

Pierwsza zima była straszna. Była tak straszna dlatego, że nie dostawaliśmy kartek. Po tem już było łatwiej, bo coś można było sprzedać. Z komitetu była pomoc taka: dostawano się troszeczkę tej mąki, tego ryżu. Ale czasem dostawano się jakieś ciepłe, wełniane skarpetki. Bo myśmy tam też - w lecie oczywiście - chodziło się na bosaka. Tu upały były też straszne. Ale i zimy też były dokuczliwie mroźne. Ale gdy się dostało taką parę czy dwie skarpety, to trzeba było wynieść je na rynek i sprzedać - wymienić na żywność. Jak widać, i tu warunki były straszne.

Mieszkaliśmy u takiej ruskiej baby. Mieszkaliśmy w kuchni. Obok była jeszcze tylko izdebka, bo w ich domach więcej pomieszczeń nie było. Jeśli ktoś miał oprócz kuchenki dwa pomieszczenia, to żył - że ho ho.

Owa kobieta była do nas usposobiona bardzo nieppzychylnie. Ciągłe ze złością powtarzała:

- O, Polaczka, nie pracuje.

Z wyglądu i z zachowania względem nas była wyraźnie wiedź-

mowata. Zresztą w tym mieście kilkakrotnie zmienialiśmy mieszkanie. W końcu trafiliśmy dobrze, bo zamieszkaliśmy razem z pewną Polką, która okazała się być osobą bardzo solidną. Pochodziła ze Stanisławowa i była z zawodu nauczycielką.

Z komitetem dostawialiśmy różne rzeczy. Pamiętam, że kiedy otrzymaliśmy rękawiczki. Raz, dostaliśmy półbuciki. Jakie one były piękne. Siedziałam i patrzyłam na nie. Bo myśmy tego nie mieli. One były rzeczywiście wyjątkowo piękne, ale trzeba było je sprzedać, bo przecież z czegoś trzeba było jakoś żyć.

Teraz już znowu nas do ~~pracy~~ gonili, ale nie chodziło się. Za pracę w mieście - w wymiarze miesięcznym - dostawało się dziewięćdziesiąt rubli. Dobrze pamiętam tę sumę. Pamiętam, że kiedyś kołchoźnik przywiózł kartofle i sprzedawał je w cenie sześćdziesiąt rubli za kilogram. Tak więc za miesięczną pracę można było kupić półtora kilograma kartofli.

A i te kartofle nie były najwyższej jakości. One były tak zamrożone, że przypominały raczej kamienie. Trzeba było wrzucać tylko na gotującą się wodę, a i to też rozciągały się jak z gumy. Zresztą kto mógł sobie na to pozwolić? Oczywiście tłuszczu nie było.

Po tym strasznym, głodowym roku dowiedzieliśmy się, że za miastem - bo tam za czasów carskich było dużo zesłańców, zarówno Rosjan jak i Polaków - o toż za miastem, a dokładnie za rzeką Irtysz, był "miasokombinat" / w naszym rozumieniu była to rzeźnia lub duże zakłady mięsne /, następnie "mielkombinat" / młyn / i fabryka wyrobów wełnianych. W tym

zakładzie wełnianym produkowano nie z wełny w powszechnym rozumieniu lecz z jej resztek i to podłego gatunku. Mówiono, że ten zakład produkuje na potrzeby wojska. Podły był to to wprowadzie gatunek, ale to jednak była wełna.

Tam życia - poza pracą - nie było. Rano o szóstej, "trudowej" to jest specjalny pociąg, wioził ludzi do pracy. Inny sposób tam dostać się nie można było, jak tylko tym pociągiem. Tenże pociąg wracał dopiero wieczorem i przywoził ludzi z pracy. Tam ludzie pracowali nie osiem godzin, tak jak u nas, ale od szóstej rano do szóstej wieczorem - czyli dwanaście godzin.

Kiedy "trudowej" wracał, to wysiadających ludzi bacznie obserwowała milicja patrząc na każdego, co on niesie. Polacy cóż - musieli jakos żyć w tych trudnych warunkach. Rozumowali mniej więcej w ten sposób: skoro tu jest "miasokombinat", to jakos będzie można żyć. Ale tam kradzież wiązała się z ogromnym ryzykiem, a ludzi rewidowano bardzo często. I gdy kogos ujęto na tym, że niesie z "miasokombinatu" jakiś kawałek mięsa czy choćby najmniejszy kawałek kiełbasy - to podobno bez sądu pakowano do więzienia i to tak skutecznie, że taki ktoś już więcej nie zobaczy na wolności świata.

Ale po jakimś czasie to wszystko się zmieniło. Kiedy Polacy zorientowali się, że istnieją jakieś możliwości "kombinowania" - wykorzystano fakt, że tam nikt nie umiał robić na drutach, a jednocześnie ci ludzie przynajmniej w tym czasie nie mieli dosłownie w co się ubrać. Było tak, że jeśli któraś z Polek wynosiła coś do sprzedania z ubrań, to się na taką rzecz dosłownie rzucali.

W tej sytuacji te Polki, które umiały robić na drutach, weszły w konszachty z Rosjankami. Ich dzień pracy /Rosjanek / wyglądał w ten sposób, że w południe przerywano pracę i pracownice udawały się w czasie tej przerwy gdzie która mogła - aby coś zjeść. W pobliżu fabryki był niewielki ryneček: wszystkiego dosłownie dwie ławy, na których jakaś baba sprzedawała lepioszki. Pracownice dosłownie rzucaly się na to, bo musiały coś jeść.

Polki zaproponowały dziewczynom - Rosjankom, żeby one w czasie przerwy wyniosły tych cewek z przędzą, niby wełną. Cewka to po polsku szpulka - te akurat były dużymi szpulkami. Rozmawialiśmy my dzieci, bo one bały rozmawiać z dorosłymi. Filnowano bardzo dokładnie. W dodatku "teren" był trudny, gdyż wszystkie trzy wspomniane fabryki były obok siebie. Na środku placu między tymi fabrykami była ubikacja. W pobliżu stały chyba dwa baraki zamieszkane i wspomniane ławy, na których owa baba sprzedawała swoje lepioszki. Lepioszki, to zwykłe placki.

Kiedy Rosjanki wychodziły na przerwę, to przędzę ze szpul szpułek nawijały na ręce, brzuch i uda. W rezultacie taka dziewczyna mogła dużo wynieść. Ale je przecież rewidowano. Ale one widocznie - tak zapewne i było - wychodziły w porozumienie z tymi, które je rewidowały. I taka dziewczyna szła - niby do ubikacji. Tam już my na nią czekaliśmy. A ona jakimś szybkim ruchem to odwiązywała i szybko wkładała do podstawionego worka lub torby. Przędawały nam to najpierw po dwa, trzy a następnie i po pięć rubli, bo zapotrzebowanie rosło.

W taki to sposób myśmy to u nich kupowali, a następnie

różnymi drogami staraliśmy się dostać do pociągu. A to nie było łatwe, bo milicja stała tuż obok tak, jak to czasem Niemcy robili takie polowania na ludzi. W tej sytuacji do pociągu dosłownie skradaliśmy się: obchodziliśmy dookoła, jeden z nas stał na czatach i obserwował, czy nikogo nie ma. Wkrótce tego się nauczyliśmy i nie byliśmy już takimi naiwnymi dziećmi, jakimi nas wywieziono z Polski, kiedy to nic nie umieliśmy i byliśmy bardzo delikatni. I zawsze jak się udawało.

Z tymi worami przychodziliśmy do domu. Z dostarczonej przędzy nasze matki robiły swetry na drutach. Rozciągały je na patykach, aby nabrały odpowiedniej formy i wносиły do sprzedania na rynek.

Robione przez Polki swetry miały tam szalone powodzenie. Każda Rosjanka wręcz musiała kupić taki sweter, bo nie miały w co się ubrać. Chociaż to jednak nie była zwyczajna wełna, lecz gorsza i była szarego koloru. Czasem na takim swetrze robiono jakiś wzór.

Tak więc my dzieci jeździliśmy pod te fabryki. To nie było daleko - należało przejechać tylko przez rzekę. A tam rzeka była bardzo szeroka. Most przez tę rzekę miał dwanaście przęseł. Most był żelazny i przez cały czas strzeżony przez wojsko. Na obu wejściach na most zawsze stał wartownik uzbrojony w karabin. Milicji było pełno i to dosłownie na każdym kroku, ale jakoś nam się udawało. Już sama nie wiem - może oni z biegiem czasu nas Polaków trochę mniej pilnowali? Może w jakimś stopniu zadziałała tu jakaś sympatia? Bo przez cały czas mówiło się, że teraz my jesteśmy razem i że razem walczymy z Niemcami.

A myśmy dalej robili te swetry. I jakoś je sprzedawaliśmy. Pamiętam, że taki dobry sweter sprzedawaliśmy po trzysta, czterysta a nawet i pięćset rubli. Były to ceny bardzo wysokie w stosunku do ich zarobków, ale oni byli w zasadzie bez wyjścia - bo nie mieli w czym chodzić. Miasto miastem, ale i tu też była bieda.

W tym mieście było dużo takich ludzi, którzy tu znaleźli się na skutek ewakuacji z terenów, które wkrótce zajęli Niemcy. Dla nich też Polki robiły - to się nie bardzo opłacało, bo pochłaniało bardzo dużo pracy - spódnice. Miejscowe kobiety bardzo chętnie to kupowały, ale na taką spódnicę szło bardzo dużo wełny. Ale niemal bez przerwy "lepiłyśmy" te swetry. Każda Polka to robiła. Nawet te, które kiedyś nie umiały robić na drutach - teraz szybko tego się nauczyły. Przecież z tego się żyło. Jewki kupowało się stosunkowo tanio i w sumie dobrze się na tym wychodziło.

Do Semipałatyńska przyjeżdżały pociągi z Alma - Aty. Kolejarze, którzy te pociągi obsługiwali - przychodzili na rynek i od nas - Polek - kupowali te swetry. Z nimi handlowało się bardzo dobrze. Byli to hurtownicy: nie wybrzydździ, nie sprawdzali dokładnie lecz brali od razu większą ilość, kazali pakować do worka i płacili dobrze. Oczywiście te swetry wywozili gdzieś na inny teren i na pewno dobrze na tym zarabiali.

Dzięki tym swetrom myśmy przetrwali - chociaż nie pracowaliśmy.

Co jakiś czas rygory jakby zelżały. Zaczęły pokazywać się na tym ryneczku kawałeczki mięsa. Początkowo były sprzedawane bardzo nieśmiało - z kieszeni. Takie kawałeczki mięsa nazywano tam "kurdziuk", co po rosyjsku znaczy baran. Sprze-

dawano właśnie sadło baranie. O Boże, przecież myśmy od dawna nie widzieliśmy nawet maska. A już o jakimś innym tłuszczu nie było nawet mowy. Dotychczas to było marzeniem ściętej głowy. I w tej sytuacji ktoś nam na rynku pokazuje kawałek - brudny kawałek owego kurdziuka.

Gdy myśmy się przekonali, że to można dostać po cichu - bo oni to proponowali Polkom - Rosjanek bali się - zaczęliśmy kupować. Czasami, bardzo rzadko sprzedający miał kawałek kielbasy.

W okolicy było wielu "bezprizornych". /Bezprizorny, to człowiek bez stałego zamieszkania, bez stałego zajęcia/. W roboczej części miasta było wiele rur ciepłowniczych. Były to rury o dużym przekroju tak, że oni w tych rurach nocowali, a nawet i mieszkali.

Później mówiono, że miejscowe władze puszczą przez te rury wodę - ale to chyba była plotka, chociaż wiele plotek okazywało się prawdą. Właśnie ci bezprizorni przez te rury chyba jakoś mieli dojście do mięsa. To właśnie i oni też sprzedawali kurdziuki. Nigdy tego dużo nie mieli, ale zawsze po kawałku było. Dzięki nim głównie już można było od czasu do czasu coś kupić.

I my Polacy w tych warunkach - robiąc te swetry oraz otrzymując od czasu do czasu pomoc z komitetu - można było z trudem przeżyć. Chleba otrzymywaliśmy po dwieście gramów dziennie na osobę niepracującą. Naszej rodzinie otrzymywaliśmy chleb we trojkę. Działał - jak mówiłam - komitet, do którego czasem przychodziło wojsko. Podobno między sobą wydawano lepsze rzeczy a takim jak my - "tykano" czasami. Coś nie coś, ale jednak można było jakoś żyć. Przecież myśmy

przeżyli.

Po jakimś czasie zaczęto zbierać młodzież do szkoły junaków. Tak, jak do armii gen. Andersa zaczęli przybywać ludzie z więzień i łagrów, tak samo zaczęto zapisywać młodzież do szkoły junaków. Moja mama jako rodzina wojskowa, bo ojciec poszedł na wojnę jako oficer rezerwy - zapisała się do rejestru rodzin wojskowych. Rejestr ten zrobiono dlatego, że rodziny wojskowe miały wkrótce wyjechać za granicę.

I rzeczywiście dużo rodzin później wyjechało z wojskiem. Ale też niektórzy - tacy jak na przykład my - po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z rządem gen. Sikorskiego - zostali.

Kiedy zaczęto zapisywać młodzież do szkoły junaków, moja mama była w rozterce i w dodatku nie miała z kim się poradzić - co ma zrobić. W tym czasie nie wiedzieliśmy jeszcze, że nasz ojciec nie żyje /zginął w Katyniu/. Mama myślała, że zapisując brata do tej szkoły junaków umożliwi mu wyjazd za granicę, gdzie może brać spotkać ojca. Bo w tym czasie na temat poszukiwanych oficerów polskich krążyły różne wersje. Była i taka opinia, że może ich jako jeńców wywieziono za granicę. Przecież prawo międzynarodowe - tak wówczas sobie tłumaczyliśmy - wyraźnie chroni jeńców. Trzeba ich traktować jak ludzi normalnych. Sądziliśmy dlatego, że nasz ojciec na pewno gdzieś żyje i jest zapewne za granicą.

Mama często mówiła:

- Nie wiadomo, czy my z tego piekła się wyrwiemy. Niech on idzie do tej szkoły, to chociaż on jeden stąd się wydos-

tanie. Przecież te nasze dzieci rosną na dzikusów, bez żadnej nauki, szkoły. I zapisała brata do szkoły. Dostał się do tej szkoły chociaż miał z tym niemałe perypetie - kiedyś mi o ty opowiadał. Zostało więc nas teraz troje i na dzień dostawaliśmy sześćdziesiąt deko chleba - nie wiele ponad pół kilograma. Wydawany nam chleb był czarny. Nie wiem, z czego go wypiekano, ale zawsze był jak glina. Oni chyba do tego chleba coś dodawali. Miał wygląd chleba razowego, ale był jak glina.

Kiedy zachodziło się do sklepu po chleb - to sprzedawczynie specjalnie rzucała kawałkiem chleba o wagę tak, że waga natychmiast szła do dołu. Lania wróciła do góry i mogła dopiero "wyrównywać", sprzedawczynie uchwytała kawałek i w ten sposób niedowazała.

Z naszej rodziny ja zawsze chodziłam po chleb do sklepu, bo to już była moja funkcja. Ale ze mną siedł zawsze młodszy ~~złoty~~ brat dlatego, że gdy ja chodziłam sama, to wracając nie mogłam się powstrzymać i zawsze skubałam i tak już niewielki kawałek. Kiedy dochodziłam do domu, to tego chleba już prawie nie było. Dlatego brat siedł ze mną po to, aby mnie powstrzymać, abym tego chleba nie zjadła do końca.

A potem było tak, że mieliśmy te kartki. Czekaliśmy na chleb jeden dzień w kolejce, czekaliśmy i drugi dzień. Przywożą rano, a następnie mówią, że następna dostawa będzie po południu. Niejednokrotnie przez trzy dni czekaliśmy i rano i po południu. Wreszcie okazuje się, że przywożą chleb, ale przydział za poprzednie dni - przepadł. Bywało i tak, że otrzymywaliśmy chleb raz na tydzień. Wówczas by-

ło naprawdę strasznie. Przecież trzeba było wprost walczyć kawałek chleba.

Potem, dopiero potem człowiek się zorientował, że można kupić kartki na rynku. Sprzedawano je oczywiście nielegalnie, "po cichu". Te kartki należało stemplować, ale nam się jakos udawało. Dokupiliśmy dwie kartki. Mieliśmy więc kilogram chleba. Ale jak wspominałam, czasem przychodziło się czekać na przydział chleba przez kilka dni. Oczywiście przydziały na dni, w których chleba nie przywieziono - przpadały.

Można to w jakiś sposób tłumaczyć: to już była wojna i oni nie mieli co dać swoim. A ludzie to byli tacy: baba w pinach /pimy to walonki bez kaloszy/, w chustce, czekamy długo w kolejce. Jest ciasno, byłam mała, więc mnie duszono, ale za to było cieplej... pewnym momencie z kolejki wybiega baba, Rosjanka, staje na środku i zaczyna śpiewać. Jest głodna niesamowicie, jak my wszyscy - przekilna tę sowiecką władzę: do czego myśmy doszli, a jeść nie ma co. Ubrana jest byle jak. I nagle wybiega na środek, kręci się w kółko i coś tam śpiewa z rękoma podniesionymi do góry. Tacy to tam ludzie byli.

Śpiewały te tak zwane czastuszki. Za tą jedną wybiega druga i obie radośnie śpiewają i tańczą, trzymając się pod ręce.

I tak nam się żyło. Strasznie się żyło. Sikorski nam dużo zrobił i pomógł. Gdyby nie on, to wszyscy chyba wywiezieni ludzie nie wrócili do Polski. Ludzie, którzy byli w łagrach i więzieniach - uratowali się. Przecież sam generał Anders - gdy go wypuszczono z więzienia - to

szedł o kulach. Najpierw go przez tydzień trzymano, żeby podkarmić, bo tak strasznie wyglądał.

A iluż tam ludzi zginęło? To wszystko było straszne. I Anders musiał wyciągnąć rękę do Stalina, chociaż mu to nie przyszło łatwo. Szło przecież, żeby stamtąd wyciągnąć tych ludzi. Aż tu nagle słyszymy, że zostały zerwane stosunki dyplomatyczne, bo znowu ich /Rosjan/ oszukano. I jak to jest w ich zwyczaju - psioczyli na naszych przywódców i na Polaków w ogóle.

Po jakimś czasie usłyszeliśmy, że się formuje rząd Wandy Wasilewskiej. Nie wszyscy przecież wydostali się z generałem Anderssem. Stało się to dlatego, że po zerwaniu stosunków wszelkie możliwości wyjazdu ze Związku Radzieckiego ustały.

Dowiedzieliśmy się też, że wielu Polaków zapisuje się do wójjska, które jest tworzone pod auspicjami Wandy Wasilewskiej. A dlaczego się zapisują? A no dlatego, żeby w jakiś sposób wyrwać się z tej przeklętej ziemi, żeby jak najprędzej dostać się do Polski.

Wtedy nie było żadnych gazet. W mieście też, nie tylko na wsi. Natomiast mama ciągle nachodziła oficerów w Komitecie i pytała o ojca. Oni zaś odpowiadali /jeszcze komitet z czasów utrzymywania stosunków dyplomatycznych z rządem gen Sikorskiego/, że byli w poszukiwaniu nawet na wyspie Franciszka Józefa, byliśmy wszędzie, gdzie tylko było można. A Stalin nadal twierdzi, że oni zostali, że jeńcy zostali, że nie zdążyły władze radzieckie ich ewakuować przed nacierającymi Niemcami.

Wówczas mama, myśląc tak "na chłopski rozum", powiedzia-

za tak:

-gdyby rzeczywiście było tak, jak mówi Stalin, to naturalne byłoby to, że ci jeńcy po ogarnięciu ich przez Niemców przystaliby do nich. To przecież naturalne. Sprzymierzyliby się przeciw dotychczasowemu swojemu wrogowi. I wówczas byłby jakiś słuch o nich.

A tu ciągle takie same wiadomości: nie ma i nie ma. A to nie jest przecież igła w stogu siana. Oni gdzieś muszą być. A skoro ich nie ma, to ich nie ma wśród żywych. Tak powiedziała mama.

A Rosjanie rozkładali ręce. Poszukiwania nadal trwały. I wtedy, gdy zostały zerwane te stosunki - mama otrzymała do rąk gazetkę, która była już wydana przez orientację reprezentowaną przez Wandę Wasilewską. W tej gazecie było napisane dosłownie, że jakiś człowiek - pisano o nim z wyraźną kpina i ironią - że ten człowiek poszedł do Niemców i powiedział, że w tym miejscu / Katyń / Sowietci rozstrzelali Polaków, polskich jeńców wojennych. A to nie jest prawdą. To jakaś swarocz - i dalsze epitety pod adresem tego człowieka. A następnie była konkluzja: to sdielali Niemcy. To jest robota niemieckich imperialistów, faszystów i innych takich, czort wie, kogo oni jeszcze w takich sytuacjach sadzali.

I wówczas już nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że tego nie zrobili Niemcy. No bo w samej rzeczy: Niemcy napadają na Rosjan, spotykają jeńców innego państwa / Polaków / i ich mordują? Mogliby ich próbować wcielić do armii czy robić coś innego, ale nie mordować. Już wówczas wydawało się nam to niemożliwe.

Później, po latach, gdy wręciliśmy do Wasilkowa, przy-

szedł do nas ksiądz, staruszek, zresztą i ludzie mówili, ktoś gazetę przyniósł - że za Niemców wydane były takie gazety - wieszano je na ścianach - z nazwiskami. I na takim ogłoszeniu było niestety nazwisko Józef Kubala. Już nie mieliśmy wątpliwości.

A jeszcze wcześniej ojciec przysłał dwa listy, a potem, ni z tego ni z owego słuch o nim zaginął. Od marca /1940r/ nikt nie dostał - tak mówili zgodnie wszyscy, nawet Polacy napotkani w Rosji/ - nikt nie miał od swoich żadnych wiadomości. I właśnie oni, Niemcy podali później podać, że jeńców mordowano właśnie w marcu - kwietniu /1940r/. Wymiano też luty. I od razu nikt nie uwierzył propagandzie sowieckiej, jakoby dokonali tego Niemcy. wszyscy wiedzieli, że jest robota Sowieców.

Nadal było nam ciężko, ale już nie tak beznadziejnie, jak na naszym oddzieleniu, gdzie nie było ni Boga ni ludzi. Tam dosłownie nie było ludzi, z którymi można by było porozmawiać. A w dodatku to było na uboczu, tak daleko. Moja mama zawsze mówiła: Boże, jeśli coś się skończy, to nas tu nawet nikt nie odnajdzie. Bo tam był prawdziwy koniec świata. Do najbliższego miasta było trzysta kilometrów i w dodatku przez taką straszną rzekę. Problemem był już sam fakt: jak my się stąd wydostaniemy? Czym się przeprawimy przez tak ogromną rzekę, jaką był Irtysz!?

Kiedy wybuchła wojna niemiecko - sowiecka i my dzieci przyszliśmy do domu, byliśmy zdziwione. Co się dzieje? Kobiety się całują. A radość były uzasadniona tym, że ta wojna dawała nam pewne nadzieje. Dotychczas wyglądało to strasznie: obaj zaborcy działali zgodnie, podzielili się Polską,

a nas wywieziono.

Wybuch wojny dowodził, że coś się dzieje. Kobiety mówiły, że jest to dowód na to, że Pan Bóg nad nami czuwa. I wszyscy tam wierzyli w zwycięstwo Niemiec. Widzieliśmy przecież na Syberii, że jest to biedota, że nie mają nawet co jeść.

Pamiętam, gdy nas wieziono jeszcze w tamtą stronę, na Syberię. W pewnym miejscu pociąg zatrzymał się na krótko. To było gdzieś wkrótce po przejechaniu Uralu. Widzieliśmy na postoju wyraźnie góry, których jeszcze do końca nie przejechaliliśmy. Miały one straszny, groźny wygląd. W pewnym momencie do nas zaczęła zbliżać się okoliczna ludność. Oczywiście ci ludzie podchodzili do nas na pewną odległość - podejście na bezpośrednią odległość było nie do pomyslenia. Myśmy nadal pozostawali w wagonach zabitych, a w pobliżu stali przecież żołnierze uzbrojeni w karabiny. Ludzie ci podchodzili do nas na pewną odległość - myśmy ich widzieli przez okratowane okienka w naszych wagonach. Ci ludzie podchodzili i prosili nas, żeby im dać choć kawałek chleba. W zamian proponowali nam naftę. Oni nie mogli do nas podejść i gdyby nawet do jakiejś wymiany doszło, to i tak nie mogliby podać nam tej nafty, bo byli za daleko.

A my siedzieliśmy w wagonach od miesiąca, bez jedzenia, a oni prosili nas o chleb. To nas wręcz zdręgotowało. Zaczęliśmy się zastanawiać: ludzie, gdzie my jesteśmy? Bo w tym czasie Sowieci nie prowadzili żadnej wojny i trudno nam było wytłumaczyć tę niesamowitą nędzę. Mało tego, kiedy oni napadli na Polskę, to jeszcze od nas wywozili wiele rzeczy. Widzieliśmy to w czasie naszej podróży na Syberię. Spoty-

kaliśmy niejednokrotnie transporty załadowane polskimi rzeczami.

Nawet w tym Semipałatyńsku - początkowo była apteka. Później nie było nic w tej aptece. Sprzedawano jakieś proszki, które zawijano w gazetę, a nie w papier. Sprzedawano też sól oczyszczoną. Właśnie ta sól oczyszczona pochodziła z Polski. Było napisane, że handlowała nią jakaś spółka ze Lwowa. Sól opakowana bardzo pięknie i pochodziła ze Lwowa. Już choćby na tej podstawie można powiedzieć, że Sowieci wywozili z Polski wszystko, co się dało. A poza tym nic tam nie było. Gdyby ktoś - nie daj Boże zachorował - to byłby to koniec.

Najczęściej tam klimat był tak suchy, że się nie chorowało. Właśnie mój młodszy brat był bardzo chorowity. Był stale chory na astmę. Mama go ledwie dowiozła na Syberię, bo on chorował od dziecka, w Polsce. Bardzo nam chorował w drodze, dostał strasznej biegunki. Właśnie tam, na Syberii wydobrzał. A w Polsce był cały czas chory. Rodzice często wozili go aż do Lwowa, gdzie był znany specjalista od tej choroby. Zresztą wówczas astma była chorobą bardzo mało znaną. Kiedy chwytał go atak astmy, to natychmiast trzeba było zapalić papierosa. Kiedy on był bardzo małym dzieckiem, to podsuwano mu na łyżce tłący się tytoń. On wdychał ten dym i to mu pomagało. Wówczas się uspakajał, bo ataki astmy były straszne.

A na Syberii nie chorował wcale. Bo tam powietrze było suche. Tam panowały albo bardzo siarczyste mrozy albo też wielkie upały.

Byliśmy tam bezbronni, obdarci i głodni. Pamiętam tam mo-

jego brata w gimnazjalnym płaszczu. Wkrótce wyrosł z tego płaszcza. Rękawy sięgały mu z ledwością do łokci. A nie było możliwości, aby mu coś uszyć. Dziurawe rękawice i buty na nogach owinięte sznurkami, omotane szmatami. I tak jak się żyło.

Wspominałam już o jego chorobie - kurzej ślepcie. Ale to nie było wszystko: on miał jeszcze straszne wrzody. Były one efektem niedożywienia. I tak męczyliśmy się przez sześć lat, tej poniewierki i nędzy, biedy i głodu. Byli wśród nas ludzie, którzy nie zdołali zabrać ze sobą dosłownie nic. I teraz nie mieli w czym chodzić ani co jeść, bo nie mieli nic do sprzedania.

Przy życiu właściwie trzymała nas nadzieja. Opowiadaliśmy czy też wmawialiśmy sobie, że na wiosnę, że na zimę, że jeszcze trochę, że nas wkrótce stąd wywiozą. I tak się wzajemnie pocieszaliśmy.

O Katyniu wiemy tylko tyle, co można przeczytać w książkach. Ostatnio kupiłam sobie kolejną, bardzo dobrą książkę o Katyniu i czytam ją sobie. Autorem jest ksiądz. Jest to autentyczny dokument. Nie mogę zrozumieć, czym się Rosjanie kierowali, że ponad czterysta osób nagle odłączyli z obozów jenieckich.

Autor tej książki wspomina też i o Berlingu. Twierdzi, że on nie był taki, jak o nim się powszechnie mówi. On nie był komunistą. Posługiwał się znakiem krzyża świętego. Kiedyś powiedział do księdza, autora tej książki;

- Niech ksiądz wie, że nie jestem takim świnią, jak o mnie mówią.

Wydaje się, że Berling chciał dobrze, chciał to wojsko

zorganizować i wyprowadzić do Polski. Jemu też udało się wyrwać z tego piekła. Bo w samej rzeczy - cóż on mógł zrobić innego?

Pisze o nim bardzo dobrze bywalec sowieckich obozów, ksiądz, który obecnie przebywa w najbliższym otoczeniu papieża. w takiej sytuacji trudno podejrzewać autora o świadomą dezinformację.

Z Siemipałatyńska myśmy wrócili do Polski. Natomiast mój brat wyszedł z armią gen Andersa z Rosji i był na zachodzie. W szkole junaków przebywali chłopcy do lat osiemnastu. I oto, ledwie skończyli tę szkołę - natychmiast rzucono ich pod Monte Cassino.

Opowiadał mi, jak jechał do tej szkoły junaków i po drodze - oni, młodzi chłopcy - zgubili swojego opiekuna. Oni zdążali do punktu formowania się Wojska Polskiego. To było gdzieś na południe od Alma - Aty. Do wojska zaczęli się ganiać ze wsząd ludzie. Byli to ludzie obdarci, ludzie głodni. Gdy my przyjechaliśmy do Siemipałatyńska, też byliśmy bosi. Wówczas, za duże pieniądze kupiło się na rynku "pimy". Pimy, były to duże walonki, które nosiło się nie do kaloszy. I noga w nich nie marzła. Wójłok, z którego one były zrobione, był nie tyle gruby co bardzo ubity, zwarty. I takie właśnie walonki, noszone bez kaloszy nazywano "pimy". Bardzo popularne na Syberii.

Gdy brat jechał do wojska, to mama oddała mu te jedyne pimy. Bo w rzeczywistości nie miał w czym jechać. Brat, jadąc do wojska doznał wielu przygód, o których nie lubi opowiadać, tak straszne są to przeżycia. Mój brat jest obecnie w Polsce. Mieszka w Białymstoku przy ulicy Zwierzyniec-

kiej. Obecnie przebywa na emeryturze. Na drogę dostał kawałek skórki chleba i pojechał.

Jechali całą grupą i w drodze - jak już wspominałam - zgubili opiekuna. Rosyjskiego nie znali dobrze na tyle, żeby o wszystko zapytać. Ledwie tam się dostali. A tam było tysiące ludzi. Tam Polaków rejestrowano i wcielano do wojska. Swojego opiekuna swojego nadal nie znaleźli. Bo gdyby opiekun z nimi był - to by zapewne ich zabrano bez kolejki. Ale opiekuna nie było.

Przez trzy dni i trzy noce stali w kolejce. Byli niesamowicie głodni. Nikt by w normalnych warunkach nie wytrzymał, ale ich przy życiu utrzymywała też nadzieja. Padali ze zmęczenia i wówczas tak zacisnęli kolejkę, że jeden drugiego podtrzymywał. Wówczas brat nauczył się spać na stojąco. I tak stali przez trzy dni.

Tam gdzie oni byli, na południu - w bardzo krótkim czasie nastąpiło przejście z zimy do niemalże lata. Zrobiły się ogromne upały. Śniegi ustąpiły i wszędzie było pełno lejącej się wody. W tych warunkach te jego pimy przemokły. Zrobiły się bardzo szerokie. Nocami panowały nadal znaczne mrozy i te mokre pimy zamarzały na nogach.

Ludzi tam - jak brat opowiadał - było mrowie - tysiące. A wszystko to było głodne, wynędzniałe i oberwane. A rejestrowano tylu, ilu można było. Dużo osób odrzucano. Ludzie, którzy przychodzili z więzień - byli chorzy, bardzo słabi i byli właściwie cieniami ludzkimi. A któż do wojska będzie przyjmował ludzi kalekich? Ale ten człowiek, którego nie wzięto do wojska, nie miał co zrobić ze sobą: nie miał gdzie nocować, nie miał ani grosza na chleb, nie miał go kto "przytu-

lić". Taki człowiek albo trafiał do więzienia albo też ginął na ulicy. W tym tłumie ludzi rozpoznał go pochodzący z Wasilkowa pan, który miał kilku synów i wszystkich ich z ojcem wywieziono do Rosji. Ojciec trafił do więzienia. Jego najstarszy syn poznał mojego brata - Stacha - w tym tłumie. Kufajka na nim była oberwana, pełno na niej dziur, przewiązany jakimś sznurkiem. Poznał, podszedł do niego i o nic nie pytając zapytał: daj mi kawałeczek chleba. Brat odpowiedział - zgodnie z prawdą - że nie ma. I on odszedł. I co się z nim stało - nie wiadomo.

Wreszcie brata zarejestrowano. A przez cały czas oczekiwania ludzie padali. A jemu się udało. Bo to był młody chłopak. Miał jedynie tę kurzą ślepotę, ale to mu wkrótce przeszło. Po przyjęciu natychmiast skierowano ich do łaźni, a następnie umundurowano.

I wówczas zaczęło się to, co było najgorsze: ci wszyscy młodzi zaczęli chorować na tyfus. To było już po przyjęciu. I w ogóle wzięto dużo osób do wojska. Wówczas wynikł problem wyżywienia, które było ściśle limitowane przez władze radzieckie: jedzenia /porcji/ było znacznie mniej niż ludzi. I tym jedzeniem trzeba było jakoś się podzielić. Chodziło o to, żeby jak najwięcej ludzi zabrać do wojska. Wiadomo przecież było, że wszyscy tu przebywający głodowali dotychczas wszędzie. I wówczas ludzie zaczęli chorować na tyfus.

Śmierć zbierała niesamowicie obfite żniwo. W szpitalu z łóżka zdejmowano jednego zmarłego i na to miejsce - nawet nie zmieniając pościeli - kładzino następnego chorego. I brat tam leżał w stanie beznadziejnym. Otrzymał już nawet

ostatnie namaszczenie, bo już tam był i ksiądz. Ale jakoś cudem wyszedł z tego. Później, gdy już zaczynał chodzić, to trzymał się ściany. Tyle ludzi młodych - codziennie pogrzeby, pogrzeby - do jamy ogólnej. Tak umierały. Szerzyły się różne choroby. Na kilka osób - jeden padał. Toż trzeba było przeżyć.

Potem jak ich już wywieźli do Persji to tam było jedzenie doskonałe, świetne. Tu głodowali, tam się dorwali do tego jedzenia i jak muchy ginęli. To było straszne. Ci, co zostali i przetrwali, to już mieli dobrze. Chodzili na ćwiczenia, uczyli się. Przystosować się do upałów też było trudno.

Niektórzy przyjechali z rodzinami, niektórzy zostawili rodziny w Rosji i martwili się o to. Najlepsza młodzież, która szkołę skończyła, młodzież, która była zerwana bez ojca bez matki/matka w Rosji została albo umarła/, ojciec w więzieniu - sieroty.

Jak była bitwa o Monte Casino, to powinni pchnąć ludzi dorosłych, doświadczonych, a oni pchnęli te dzieci.

Brat wrócił, potem się dowiedział przez kogoś z Wasilkowa, że myśmy wrócili. I miał szczęście, spotkał brata, poznał go w Armii Andersa. I mówi - twoja rodzina żyje. Jak się o tym dowiedział to przyjechał do nas. Potem go też ciągnano. Był taki okres, że pracy nie mógł znaleźć. Potem miał pracę, ale z przyczyn niezależnych nie może pan pracować. Przyjmują mężczyznę z otwartymi ramionami, a potem na drugi dzień - niestety nie. Był taki okres - to był pięćdziesiąty któryś rok, chyba 1950 rok. Miał takie różne petypetie. Nawet był odznaczony angielskim medalem - przysłali

mu, który nic absolutnie nie daje-był w lotnictwie.

Dużo się przecierpiało. Dużo zginęło ludzi, tysiące w Rosji.

/mówią, że trzy miliony, ale było więcej, ale nawet trzy miliony to bardzo dużo./

Wojna się skończyła. Działał komitet i był transport do Polski. Był pierwszy transport, a my chyba drugim wróciliśmy. Zapisaliśmy się, drżeliśmy, żeby znowu nie cofnięto.

Jak wojna się skończyła zaczął się pokazywać chleb bez kartek. Oczywiście ludzie się rzucili, brali bochenkami, żarło się ten chleb. Bo przecież są to tereny stepowe, ale tam pszenica rosła, ale nigdy nie mogli jej zebrać, nigdy. U nas gdzieś tam stogi leżały, ale nie można było zebrać, bo chodził z karabinem. A po drugie, to pszenica rosła. Była czarna, jak wzięło się kłos, to wysypywało się ziarno. Ale trzeba było przerzucać z miejsca na miejsce, żeby Polacy nie byli bez roboty.

Tak samo jak były zawieruchy, trzeba było śnieg "zadzierzyć". Jak można zatrzymać śnieg w stepie, żeby tylko nie siedzieć bez roboty. Żeby Polaków do końca zniszczyć, wymęczyć.

Transport był bardzo długi. Myśmy się zapisali do tego transportu i już jechaliśmy. Były prycze, wagony osobowe, ale były prycze jedne. Leżąc na środkowej pryczy można było usiąść i nie sięgało się głową. W tamtą stronę były dwie prycze. Nie można było swobodnie wstać. Teraz warunki były już inne. Drzwi nie były zamknięte do końca. My-dzieci jak siedzieliśmy, to nogi mogliśmy spuścić. Nie pilnowali nas teraz. W tamtą stronę do końca z karabinami i sztykami pilnowali. Nawet w tym Pawłodarze, jak has wywożono. Pawłodar, Syberia, gdzie kto ucieknie, w którą stronę. W tamtą stronę jak nas wieźli, to ludzie umierali, wyrzucało się ich i dalej. Dawali kipyatok, niecodziennie, ale dawali. Raz dali ludziom "szczy", jak ludzie nie jedli od tygodnia, od

dwóch żadnej strawy gorącej. Warunki były straszne. Pamiętam nauczycielkę, chyba z Czarnej Białostockiej, którą wepchnęli do wagonu z dzieckiem z małą walizeczką z brankami dziecięcymi. W Pawłodarze spotkaliśmy ją. Na dużej sali, na ławie to małe dziecko dostało drgawek. Wszyscy byli zdziwieni, jak ona dowiozła to dziecko. Ona uklękła i zaczęła w głoś modlić się swoimi słowami.

Wracając jechaliśmy naokoło nie przez Ural. - Almata, góry Altaj, bo tu wszędzie drogi podobno były zerwane. Jechaliśmy okrężną drogą. Pamiętam, jak pociąg się zatrzymał w górach, to była droga i szyny były tylko w jedną stronę. Z jednej i drugiej strony torów była ściana gór. Te tory - mama mi mówiła - to jest ciężka praca więźniów. Ilu tu zginęło? Bo w takich górach taką drogę wykopać, jak wąwóz. Jechaliśmy przez rzekę Wołgę. Zatrzymaliśmy się w Alma-Atie, to narynek pobiegliśmy tych lepioszek kupić, bo jeść trzeba było coś. Tam nie było chleba i zamiast chleba były lepioszki. Na płycie glinianej pieczono. To była zwykła mąka z wodą na suchych drożdżach i to rosły kwadratowe pbacki i rwało się to i jadło. To było pyszne, ale dlatego, bo był głód. Dziś bym tego nie jadła. Mąka nie była biała, a brązowa, mocno beżowa. bo nie była odsiana. Ale jak mama kiedyś coś wymieniła na woreczek tej mąki, jak byliśmy bogaci, bo mogliśmy tej zacieruchy ugotować. Tam to się nie myślało o niczym, tylko, żeby coś zdobyć.

Kiedy udało się coś wymienić na przykład na odrobinę mąki, to już człowiek czuł się bezpieczniej, bo miał już jakieś zabezpieczenie na jakiś czas.

Do Polski, dokładnie do Wasilkowa wróciłam w roku 1946-tym. Nasz eszelon był kierowany przez władze repatriacyjne na Ziemię Zachodnie. Ci, którzy się zdecydowali na podróż na tante tereny,

podobno otrzymywali ponieniemieckie domy i gospodarstwa. Ponieważ moja mama miała rodziców, którzy pochodzili stąd, jechała jakoby do siebie. W czasie wojny mama mojej mamy zmarła, ale mieszkał tu dziadek. Tu mieliśmy nasz piękny dom, który wówczas wyglądał ładniej niż dziś: nie miał tych ganek i przybudówek.

Kiedy tu wróciliśmy, w naszym domu mieszkała też moja ciocia o której mówiłam, że przyjechała do nas uciekając z Pińska. Przez wojnę mieszkała u nas wraz ze swoim mężem. Już po wojnie - w 1946-tym roku wujka aresztowano. Trudno powiedzieć, dlaczego go aresztowano, tu trudno dopatrzeć się jakiejś logiki.

Tak było i w innych wypadkach. Weźmy na przykład sprawę Jadzi Burzyńskiej. Była to bardzo młoda dziewczyna. Ani ona gdzie należała, ani interesowała się wielką polityką. Bo mój wujek - nazywał się Lis - przynajmniej był sekretarzem w gminie. Można by zrozumieć wywożenie tych ludzi, którzy w czasie okupacji niemieckiej sympatyzowali z Niemcami. Ale wywożono Bogu ducha winną, młodą dziewczynę? Co ona komu zawiniła? I zabrali ją.

Podobnie było z jej ojcem, który od spraw polityki był jak najdalej. Nie bardzo wiem, jak to rozumieć. Można też próbować tłumaczyć, że wywożono żony policjantów, żony urzędników bądź tych ludzi, którym się dobrze powodziło. Do tej grupy można by też zaliczyć żony wojskowych. Chociaż to żaden powód do karania - ale można to jakoś rozumieć. Ale wśród wywożonych były też rodziny biedoty, ludzie autentycznie biedni, którzy niczym się nie wyróżniali ani niczyj nikomu nie zawinili. Wśród wywożonych byli na przykład tacy

ludzie, których cała działalność ograniczała się do tego, że kiedyś - przed wojną krzyknął na przykład "precz z Zydem".

Wywieziono na przykład rodzinę Poznańskich czy panią Sochaniową. Przecież to byli ludzie wyjątkowo biedni. Nigdzie nie należeli - a jednak ich wywieziono. Najprawdopodobnie o tym decydował donos.

O sprawach religii i praktyk religijnych w Rosji należy powiedzieć, że w czasie naszego pobytu w oddzieleniu o Bogu nikt nie wspominał. Mówię o miejscowych. Tylko my - Polacy, modliliśmy się wieczorami, wspólnie. Natomiast Rosjanie nie zajmowali się tym, ponieważ tam nigdy nie było cerkwi, tym samym nie było ludzi wierzących.

Natomiast kiedy przyjechaliśmy do Siemipalałyńska, to w tym mieście na środku była cerkiew. Oczywiście nieczynna, zabita deskami. Myśmy tam nawet chodzili patrzeć. Okazało się, że zrobiono z niej po prostu ubikację.

Brak uczucia religijności był widoczny zwłaszcza u młodzieży. Tamtejsi młodzi ludzie przeklinali siarczyscie. Ich przekleństwa kończące się na "mać" były dodatkowo wzbogacone w słowa obrazoburcze: "w krzyża mać", "w Chrysta mać", "w Boha mać", i temu podobne. Dla nas - ludzi wierzących był to coś wyjątkowo strasznego.

Ale byli ludzie starzy, bardzo starzy. W ich mieszkaniach wisiały tam obrazy kultowe, zwane tam ikonami. Wisiały w domach i były obramowane zawieszonym ręcznikiem. Niektórzy z tych starszych ludzi żegnali się. Na przykład nasza gospodyni - żegnała się, gdy rano wstawała. Podobnie było też, gdy siadała do obiadu. Jak więc widać, wśród rodzimych Rosjan ale

zdecydowanie ludzi starszych - zdarzali się, sporadycznie, ludzie wierzący.

Natomiast gdy skończyła się wojna, zaszły istotne zmiany. Dotychczas nie wolno było na przykład powiedzieć, że ktoś jest popelem. W ogóle Rosjanie to byli dziwni ludzie. Żyli jakos tak na zewnątrz. Dopiero gdy bliżej poznali jakąś polską rodzinę - wówczas zaczynali opowiadać, jak to dawniej władze mordowały miejscowych. Wiele kobiet nie miało mężów: przyszli w nocy, zabrali i wszelki śluch z nich zaginał. Taki człowiek przepadał. Nie było nawet gdzie się dowiedzieć o jego losie.

Tam jeden człowiek bał się drugiego człowieka. Mordowano nie dlatego, że ktoś zawinił - ale przychodził "prikaz", aby ustaloną liczbę ludzi wymordować.

Ci sami ludzie, którzy narzekali na bezwzględność władzy po chwili opamiętywali się i - nieoczekiwanie zupełnie - zaczynali chwalić Stalina. Oni do tego stopnia byli zaszczeni i tak strasznie się bali. Strach był tam rozpowszechniony do tego stopnia, że swój swego się bał, bał się odezwać przy drugim, swoim.

Ale ci starzy czasami opowiadali, co się działo. Z ich opowiadań wyłaniały się straszne rzeczy, jak ludzie mordowali się w czasie rewolucji. Powodem morderstwa nie było to, że ten był bardzo bogaty. Wystarczyły niewielkie różnice w stanie posiadania. Jeden miał jedną krowinę a drugi dwie i ten drugi był uważany za bogacza, trzeba było go koniecznie zamordować.

Mordowanie najczęściej było połączone ze znęcaniem się w okrutny sposób. Na przykład mordowano w ten sposób, że przy

wiązywano człowieka do końskiego ogona i włączono aż do śmierci. W tym czasie nie wolno było przyznać się, że jest się osobą wierzącą.

Natomiast gdy skończyła się ostatnia wojna - Stalin pozwolił otwierać cerkwie. Już nawet na zewnątrz ujawnił się odmienny stosunek do wiary. Ten gest był obliczony też na użytek zewnętrzny. Stalin w czasie wojny walcząc z Niemcami i Japonią stykał się z Amerykanami i chciał przedstawić się jako tolerancyjny demokrat. Twierdził, że u nich nie każdy jest wierzący, ale kto chce, może praktykować i u nich przez jakiś czas cerkwie otwierano.

Gdy otwierano cerkwie - przychodzili do nich przeważnie ludzie starsi i głównie kobiety. Czasem bywały i młode kobiety. Zupełnie nie było młodzieży męskiej. Tamtejsi chłopcy byli - nie tylko pod względem religijnym - bardzo źle wychowani.

W Siepiałatyńsku otwarto oficjalnie miejscową cerkiew. Wnętrze budynku posprzątanb, wyczyszczono. I nie wiadomo skąd - znalazł się pop. Może on kiedyś był popem, bo wówczas żyli jeszcze ludzie, którzy doskonale pamiętali przebieg rewolucji październikowej.

Kiedyś myśmy poszli nawet do tej cerkwi popatrzeć. Ciekawy był tam chór. Należy pamiętać, że tam trzy osoby to już uważa się za chór. Śpiewali pięknie. Jest to kolejny dowód na to, że wśród nich byli ludzie wierzący, którzy umieli śpiewać religijne pieśni.

Otwieranie cerkwi jako domów modlitwy nie miało charakteru powszechnego. Otwierano je raczej sporadycznie, w niektórych miejscowościach.

Kiedy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki i niepowstrzymanie parli na Moskwę wydawało się, że odniosą zwycięstwo. Tam, na Syberii w najbliższym otoczeniu nawet i miejscowi Rosjanie liczyli na wygraną Niemców i po cichu chyba wszyscy im tego życzli. Takie odczucie było tam zarówno w mieście jak i na wsi. I gdyby Hitler zaczął ich traktować inaczej - miałby ich po swojej stronie. Ale Niemcy zaczęli od masowego mordowania jeńców sowieckich i tym samym Rosjanie nie mieli innego wyjścia jak bronić się do ostatka.

W pierwszej fazie wojny Rosjanie na zapleczu czekali na Niemców, którzy nareszcie ich wyswobodzą z tej strasznej nędzy. Oni bardzo na to liczyli. Ale po krótkim czasie ich srosunek do Niemców diametralnie się zmienił.

Po powrocie z Syberii do Polski w zasadzie nie miałam kłopotów z tego powodu, że byłam na zesłaniu. Ale dwukrotnie przyszła do mnie sąsiadka - z ostrzeżeniem. Ale co myśmy mogli tu zrobić. Ojca nie mieliśmy - zginął w Katyniu. Brata też nie mieliśmy - również zginął. Wróciliśmy we troje tak, jak staliśmy. Przywieźliśmy ze sobą kosz, który był pusty. A jakoś żyć trzeba było. Moja mama była przeraźliwie chuda. Gdy nas wywożono - moja mama miała czterdzieści trzy lata i była bardzo przystojną, ładną kobietą. Kiedyś w Rosji przyjechał fotograf robić zdjęcia do paszportu - to moja mama wyglądała jak bandytka; takie miała nieprzyjazne spojrzenie i sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą wyszła z więzienia.

Po powrocie wkrótce mama osiwiiała. A przecież wówczas nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat. Nic nie mieliśmy. Są-

siadki ostrzegwały, że ktoś podejrzany kręci się pod naszymi oknami. Najwyraźniej ktoś podsłuchiwał i sprawdzał, kogo przyjmujemy i o czym rozmawiamy.

Kiedy już nie mieliśmy wątpliwości, że ojciec nasz nie żyje, mama rozpoczęła starania o wdowieństwo. W czasie spisania danych padło pytanie - gdzie jest mąż. Mama odpowiedziała - zgodnie z prawdą - zginął w Katyniu, bo wcześniej był w obozie w Kozielsku. Wówczas urzędnik - to chyba była sędzina podpowiedziała, że należy zapisać, iż zginął na wojnie. Mama ^{to} odpowiedziała: zginął w Katyniu. Przecież to zrobili Niemcy. Czego pani się boi? Na to ta pani: lepiej niech będzie, że zginął na wojnie.

Natomiast brat - gdy tu był - ciągli go co pewien czas na przesłuchania. Moją brat włączył w armii gen Andersa i nasze władze starały się dociec - dlaczego on wrócił z zachodu. Podejrzewano go o szpiegostwo. Zresztą los mojego brata w tym względzie nie był wjątkiem. Wielu ludzi, którzy wrócili z zachodu siedziało później w więzieniu. A jego podejrzewano o szpiegostwo. Nie bardzo wierzone w jego zapewnienia, że wrócił do swojej rodziny. Przez dłuższy czas nie miał spokoju.

Natomiast zabrano mojego wujka, który był sekretarzem w gminie za okupacji niemieckiej. Wujek działał na rzecz Armii Krajowej. Miał bowiem dostęp do dokumentów niemieckich, ywrabiał dowody dla ludzi spalonych i tak dalej. Później był za to ścigany.

W czasie okupacji niemieckiej Cyganie zabili w Natrynce niemieckiego komisarza. Zabity Niemiec podobno nie był złym człowiekiem. Stosunkowo nie był złym człowiekiem, bo

na takich stanowiskach było wielu drani. Wówczas Niemcy kazali wyznaczyć za niego pięćdziesięciu zakładników. To i tak nie było aż tak źle, bo zwykle w takich sytuacjach brano stu zakładników. Stało się to chyba dlatego, że w biurze gminy siedzieli polscy urzędnicy. I teraz należy sobie wyobrazić położenie tych urzędników polskich, którym kazano podać nazwiska tych zakładników. Na ten temat opowiadał nam wujek. Zresztą nadal jeszcze żyją ci ludzie, którzy wówczas w tej gminie pracowali.

- No kogo podać? - to był straszny dylemat. Ale kogoś trzeba było podać bo w przeciwnym razie oni by zginęli. Z ociąganiem się zaczęto podawać nazwiska ludzi na przykład takich, którzy sympatyzowali z władzami niemieckimi, ludzi chorych psychicznie np. debili. Ale przecież wszyscy ludzie chcą żyć.

Podobno ci urzędnicy kręcili się i latali jak szaleni: kogo podać. Przecież każdy każdemu jest drogi. W końcu jakoś skompletowali tę listę.

Polscy urzędnicy starali się chronić ludzi słabych. Władze niemieckie często wyznaczały kontyngent krów do zdania. Polscy urzędnicy starali się tak wyznaczać ludzi do oddawania krów, aby nikomu nie zabierać ostatniej krwi.

Po powrocie poszłam do szkoły. W domu nie mieliśmy nic. Kiedy nas wywieziono, władze sowieckie przyszły do naszego mieszkania i dokonały ponownej rewizji. Do naszego mieszkania i na nasze meble przyjechał kierownik szkoły, który pochodził z Rosji. Mieszkał w naszym domu i posługiwał się naszymi meblami. Bo w Wasilkowie w miejsce dawniejszej szkoły

polskiej powstała szkoła rosyjska. On był podobno człowiekiem bardzo sympatycznym, tylko ta jego baba była wyjątkowo antypatyczna. Wszystko zajmowała bez skrępow, jak by to zawsze należało do niej.

Mój stryj - brat mojego ojca - był piłsudczykiem. Sprzedał swoją ziemię pod Krakowem i osiedlił się na wschodzie, w okolicach Lwowa. Gdy jeździliśmy z chorym bratem do Lwowa, to zatrzymywaliśmy się właśnie u niego. Ziemia tam była podobno bardzo dobra, wręcz idealna. Stryj miał wspaniałe plany. Zamierzał się budować. Już nawet coś tam zbudował. Wybuch wojny wszystkie plany przekreślił.

Ukraińcy w tamtych stronach mordowali Polaków. Jego na szczęście oszczędzili, ale za to spalili dom i zabudowania z całym dobytkiem.

Jego natomiast wywieziono do Rosji. Trafił do wyrębu tajgi, a później wyszedł z Rosji z armią gen. Andersa.

Notował: S. Sianko.